Nr. 23. 30 h. = 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków, dnia 6 listopada 1909.

Z treści: **Pamiętnik umarłej.**

Wychodzi w każdą sobotę.



Szerlok Holmes stał przywiązany do skały tuż obok orlego gniazda.

Przedruk wzbroniony.
Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.
Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.
Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 23. Kraków, dnia 6 listopada 1909. Nr. 23.

ZE ŚWIATA.

Oszukańczy odkrywca.

Równoczesne odkrycie bieguna przez dwóch odkrywców przypomina pewien komiczny fakt, mistyfikacyę, jakiej dopuścił się także pewien „odkrywca“ przed 11-tu laty.

Mianowicie pojawił się był w owym czasie w Londynie elegancki młody człowiek o manierach i elegancyi dżentelmena i silnie opalonej cerze. Opowiadał on wiele i bardzo głośno o dziwnych swoich przygodach i przejściach, jakich rzekomo miał zaznać na dalekich a nieznanych lądach i morzach.

Niezliczone tłumy ciekawych oblegały dom bohatera, który zwał się kawalerem Louis de Rougemont. Przyjmował on swoich gości nadzwyczaj uprzejmie i każdemu służył z gotowością swojemi bajecznemi opowieściami. W dziennikach zamieszczał artykuły z swej odysei wzbudzające senzacyę w świecie naukowym, dla swoich niezwykłych szczegółów antropologicznych i geograficznych. Wprawdzie enuncyacye tajemniczego podróżnika dawały wiele do myślenia, nikt jednak nie ośmielił się wystąpić wprost przeciw blagierowi, bojąc się „skompromitowania“, tem więcej, że genialny odkrywca obiecywał — (coś à la Peary i Cock) — że przedłoży dowody wiarygodne stwierdzające prawdę słów swoich.

Wszystkie dzienniki pisały tylko o nim — wszystkie illustracye podawały jego portrety. Krótko mówiąc, kawaler de Rougemont stał się bohaterem dnia.

Wreszcie ukazało się tak długo oczekiwane wyczerpujące sprawozdanie odkrywcy w „Wide World Magazine“, który uzyskał wyłączne prawo publikowania prac genialnego odkrywcy. Bezpośrednim skutkiem owej publikacyi — była zupełna zmiana frontu publicznej opinii. W miejsce podziwu zapanowało teraz powątpiewanie w wiarygodność tej fantastycznej lektury.

Dość nadmienić, że autor opowiada, że zaskoczony został na morzu przez straszną burzę, która wyrzuciła go na jakąś dziką, odludną i nieznaną wyspę. Tam wyśledziła go horda istot będących czemś pośredniem pomiędzy małpą a człowiekiem. Uczony podróżnik skłaniał się jednak do mniemania, że to były małpy, ale nadzwyczaj inteligentne małpy. Otóż małpy te zdradzały zrazu wrogie usposobienie wobec niego, potem jednak (jak się zdaje dzięki wybitnej ich inteligencyi) — poznały się na nim, akceptowały jako nowego towarzysza, a nawet wkrótce obrały swym „naczelnikiem“. Nie na tem jednak kończą się romantyczne przygody kawalera de Rougemont.

Najinteligentniejsza z inteligentnych — oczywiście żeńskiego rodzaju — zakochała się w nieznanym podróżniku panna-małpa i o włos, że nie byłby zmuszony wziąść z nią ślubu, gdy nie to, że — — —

Jasną jest rzeczą, że te i tym podobne bzdury mogły ostudzić zapał największego entuzyasty. Zaproszono go tedy przed osobną komisyę i zażądano kategorycznie przedstawienia obszernych dowodów. No, tych oczywiście nie mógł wielki podróżnik dostarczyć i wyśmiany i skompromitowany wyjechał chyłkiem z Londynu i od tej chwili słuch o nim kompletnie zaginął.

Wykrycie mordercy po pół roku.

Morderca ajenta Donalda Fargnarson-Fleurot został po 5-cio miesięcznych nadaremnych poszukiwaniach wreszcie przez paryską policyę odkryty. Historya ta zakrawa rzeczywiście na jakiś kryminalny romans Otóż 30 marca został w ulicy Rue Mont Thabor niedaleko ulicy Rivoli zamordowany ajent policyjny a zarazem i literat (!) niejaki Fleurot zwany także Fargnarson. Znaleziono go w jego własnym domu, zabitego wystrzałem z rewolweru.

Obok niego leżał rewolwer i stare spodnie. Ciało zabitego było zupełnie ogołocone z sukni. Wreszcie po długich poszukiwaniach — jak powiadamy — udało się policyi ująć zbrodniarza.

Poznano, że spodnie te wykonano w belgijskiej fabryce, a materyał, z których były sporządzone pochodzi z fabryki sukna w Verviers. Fabryka wskazała krawca, który sukno to zakupił, a krawiec przypomniał sobie, że ubranie, którego część składową stanowiły inexprimable — zrobił dla księcia Chimay. Książe po przenoszeniu ubrania darował je swemu służącemu, który potem wywędrował do Buenos-Ayres i otworzył tam restauracyę. To dostało się następnie pewnemu biednemu pomywaczowi garnków nazwiskiem Knockaert, dezertetowi z wojska belgijskiego. W tym ostatnim poznano wreszcie mordercę. Odsiadywał on karę więzienia w wojskowem więzieniu w Bilvorde i natychmiast przyznał się do czynu. Tłómaczył się tem, że w jakiejś restauracyi poznał się z detektywem, który go potem zaprosił do siebie do domu, gdzie przyszło między gościem a gospodarzem do kłótni, zakończonej śmiercią tego ostatniego. Zabójca obdarł go potem z sukni i zostawił w zamian swoje stare spodnie.

Zbrodniarz, dzięki spodniom owym został wykryty i na śmierć skazany.

Dramat w lesie.

W lasku około miasta Rheinsberg w Brandenburgii rozegrała się temi dniami straszna tragedya. Kilku młodych ludzi, pomiędzy nimi także niejaki Seydlitz, leśniczy — zrobili wycieczkę w okolicę, a następnie udali się piechotą do sąsiedniego lasku.

Nad jednem z licznych jezior podziwiało towarzystwo wspaniały zachód słońca i śpiewało wesołe pieśni, w których brał udział wspomniany wyżej Seydlitz. Nagle rzekł on do córki nadleśniczego, niejakiej panny Rupel: „Uważaj pani na szpilkę od kapelusza, bo ją zgubisz!“ Panienka podniosła ręce, by poprawić kapelusz i w tej chwili rozległ się złowrogi strzał. To Seydlitz strzelił z tyłu do nieszczęśliwej dziewczyny, raniąc ją ciężko.

Następnie zwrócił morderczą broń przeciw sobie i jednym celnym strzałem w skroń, odebrał sobie na miejscu życie. Dziewczynę przetransportowano natychmiast do pobliskiego miasteczka i wezwany telefonicznie lekarz założył jej opatrunek. Powody, jakie skłoniły młodego leśniczego do usiłowanego morderstwa i samobójstwa — nie są wiadome.

Szczególniejsze medium.

Ciekawa rzecz zajmuje od kilka dni paryski świat uczony, składający się z spirytystów przeważnie. W pobliżu Jardin des Plantes, posiada pewna kapitalistka skład towarów, a w pobliżu jego małe mieszkanko, zarezerwowane w razie przybycia jej do Paryża. Przed kilka dniami przybyła właśnie w towarzystwie swej pokojówki do Paryża. Była to sierota lat 15-tu. Zaraz zaczęło się w mieszkaniu palić. Najpierw zapaliła się firanka, chociaż nikt w pobliżu nie zapalił światła. Potem zapalił się kredens, dywan i stół. Ugaszenie nie było trudnem, ale ogień pojawiła się co chwilę w innem miejscu. Ba! nawet podczas rewizyi policyjnej zajął się ni z tego ni z owego stos gazet i papierów tuż obok protokolanta. Przy dokładniejszem badaniu znaleziono w mieszkaniu naczynia napełnione terpentyną. Tym samym płynem były nasycone meble i firanki. W bieliźniarce znaleziono kilka kartek z napisem, że jest to mała niespodzianka, przeznaczona dla pani domu.

Pokazało się, że pismo pochodzi z ręki służącej. Aresztowano ją w tej chwili, ale policya nie może wyjaśnić, w jaki sposób podobny czyn mogła spełnić młodziutka dziewczyna. Niektórzy ludzie sądzą, że Augusta Fergison — tak się nazywa służąca — ma stosunki z duchami i jest „ogniowem medium.“

Tłómaczenie na każdy sposób ciekawe i oryginalne, któremu jednak władze nie dają wiary.

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

PAMIĘTNIK UMARŁEJ.

ROZDZIAŁ I.

Czy samobójstwo?!

Blade promienie porannego słońca nadaremnie usiłowały przedrzeć się przez gęste szmaty ciężkiej mgły, zwisającej leniwie nad Londynem. Na oddalonem przedmieściu milionowego miasta w Chiswick zaczęło zaledwie życie się budzić.

Szarzało i zwycięskie słońce zabarwiło złotawym blaskiem szczyty olbrzymich drzew, któremi wysadzona była główna szosa, prowadząca do miasta.

Zabrzmiały wesołe śmiechy i wdzięczne głosiki dziecięce i na gościńcu ukazały się sylwetki dwóch chłopców.

Starszy, wysoki blondyn, mógł liczyć może 16 lat, młodszy, pucułowaty czerwony dzieciak, nie miał więcej nad 10 lat. Czapeczki na bakier, z książkami pod pachą, spieszyli malcy samotną drogą gadając i śmiejąc się ustawicznie.

— Goddam! Reginald! — rzekł mały — jeżeli dzisiaj nie będę umiał na pamięć tych przeklętych słówek niemieckich, będę musiał siedzieć po godzinie i kuć!...

Drugi spojrzał z uśmiechem na blondynka.

— Przedewszystkiem jest zupełnie zbytecznem rozpoczynanie każdego zdania od „goddam“, poza tem mogę cię wysłuchać!

— Goddam! to prawda! — zawołał mały, wyciągając książkę z torby.

— Fe! Herbercie! — zganił go starszy.

— No nic! już ja się odzwyczaję — odparł blondynek, podając bratu książkę i zaczął pytlować wokabuły niemieckie, rzecz arcyniemiła dla młodego anglika.

Tak szli trzymając się w objęciu i tylko zeschłe liście szumiały im pod nogami.

Już uszli połowę drogi przez lasek i zbliżyli się do małego jeziorka, ktore miało odpływ ostateczny w Tamizie.

Nagle mały zatrzymał się i drgnął niespokojnie.

— Patrzaj, Reginaldzie tam o! widzisz?! Co to jest? — krzyknął przerażony, szeroko otwierając oczy i chwytając trwożnie za ramię brata.

Przez sitowie świeciło coś białego — —

Książka upadła na ziemię — —

W kilku potężnych susach był już zwinny chłopak na brzegu jeziorka. Tu leżała rozciągnięta na ziemi, z rozpuszczonym włosem, postać kobieca. Krew ściekała z rany postrzałowej i wsiąkała w mech.

Przerażony chłopiec pochylił się nad trupem, przyczem nogą potrącił o śliczny damski rewolwerek z rączką z perłowej macicy.

Podniósł w górę ramię trupa, które opadło bezwładnie na ziemię. Nie ulegało wątpliwości, kobieta nie żyła!

Struchlały podniósł się z ziemi. Ująwszy brata za rękę pospieszył do najbliższego posterunku policyjnego. Pędzili, ile sił. Dopiero, gdy się znaleźli w wagonie okrężnej kolei, która ich miała zawieźć do miasta — odetchnęli swobodniej.

— Reginaldzie! — odezwał się młodszy — miałbym teraz sposobność, by spełnić gorące życzenie.

Drugi spojrzał na niego pytająco.

— Co tam mruczysz?

— Życzenie poznania największego ze wszystkich detektywów świata!... Dam mu znać osobiście o tym wypadku.

— Co cię to wszystko obchodzi? — krzyknął starszy. — Teraz pojedziesz do szkoły, a ja na strażnicę policyjną. Teraz wysiadasz.

Posłusznie zastosował się malec do rozkazu starszego brata, wziął książki pod pachę i wysiadł na przystanku, ale w oczach jego można było wyczytać, że za nic w świecie nie odstąpi od swego zamiaru.

W jaki kwandrans zadzwonił do mieszkania przesławnego detektywa. W drzwiach ukazała się sympatyczna fizyognomia pani Bonnet, gospodyni Szerloka Holmesa.

— Dzień dobry! Czy mógłbym mówić z mr. Holmesem? — rzekł z wahaniem.

— Dlaczego nie, mój mały! Jeżeli tylko sprawa ważna — —

— Nie wiem na pewne, myślałem — sądziłem — — —

— Chciałeś się widzieć z Holmesem? — przerwał jakiś sympatyczny głos jąkanie małego i ku niezmiernemu zachwytowi studencika ukazał się wymarzony przez niego sławny człowiek, w szlafroku jeszcze i pantoflach i trzymając w ręku szklankę herbaty patrzał z życzliwym uśmiechem na małego gościa.

— Możebyś wstąpił dżentelmenie?

Uprzejme to zaproszenie nie pozostało bez skutku.

Zmięszanie jego ustąpiło natychmiast i dzieciak wszedł za progi mieszkania podziwianego przez cały świat detektywa.

— W Kew-Garden w Chiswicku leży umarła jakaś kobieta! — wygadał chłopiec jednym tchem.

— No, i co? — zapytał Holmes, bawiąc się łańcuszkiem od zegarka.

— Ja myślałem, że może to jaki — — ważny wypadek.

Holmes uśmiechnął się na to.

— Z czego to wnioskujesz?

Żadnej odpowiedzi. Holmes już chciał w delikatny sposób zwrócić uwagę malca na to, że niepotrzebnie mu czas zabiera, że on Holmes nie jest oglądaczem trupów, ale w tej chwili przyszło mu na myśl:

— A może to zrządzenie losu?! Może ten mały bezwiednie naprowadza go na wielkie odkrycia?

Zdecydowawszy się, rzekł do chłopca:

— Co prawda zapoznajesz moje powołanie chłopczyku! — ale mimo tego przejdę się po herbacie do Chiswicku i zobaczę, co tam się stało. Czy mnie tam zaprowadzisz?

— Och! z całą ochotą, panie Holmes! — zawołał mały z radością, i wkrótce znaleźli się obydwaj na drodze do Kew-Garden.

Przy wiadomem jeziorku stała gromada ludzi.

— Oto tam! — rzekł studencik wskazując ręką.

— Tak, mój kochany! — rzekł Holmes, gdy stanęli na miejscu, teraz możesz odejść. To, co tu zobaczyć możesz, nie jest dla dzieci!

Przy tych słowach podał mu sztukę monety, a gdy mały zawstydzony i zmięszany odwrócił się — dodał:

— Zwracam ci tylko te pieniądze, które z mego powodu wydałeś na tramwaj i kolej i te, których potrzebujesz jeszcze, by się do szkoły dostać. Za resztę możesz sobie kupić ołowianych żołnierzy!

— O! nie! Kupię sobie historye sławnych detektywów! — zawołał studencik z błyskiem w oczach. Podziękował i pobiegł dalej.

— Dzień dobry, panie Gordon! — zawołał Holmes głośno.

Zagadnięty odwrócił się, a poznawszy go, postąpił kilka kroków naprzód.

— Ach! panie Holmes! — rzekł ściskając dłoń jego. — Cóż pana sprowadza w te odległe strony?

— Przypadek! — odpowiedział detektyw. — Ale co słychać?

— Pójdź pan i zobacz sam! — przy tych słowach zaprowadził go przed trupa. W milczeniu przypatrywał się genialny kryminalista zwłokom, pozdrowiwszy wprzód koronera i skinąwszy obojętnie głową dwom policystom.

Zabita mogła mieć około 30 lat. Jej piękna twarz wyrażała jeszcze przedśmiertną trwogę. Włosy podtrzymywane tylko jedną srebrną strzałką rozluźniły się i w bujnych, kasztanowatych zwojach spadały na barki.

Oczy szeroko otwarte, jakby w niewypowiedzianym przestrachu, usta rozchylone odsłaniały dwa rzędy zdrowych, białych zębów. Ubranie miała na sobie eleganckie, a palce lewej ręki hojnie pierścieniami ozdobione. Obok niej leżał

wspomniany już rewolwer i wiązanka leśnych kwiatów; nieco dalej biała jedwabna parasolka, para rękawiczek i otwarta książka.

Szerlok Holmes wziął ją do ręki.

— „Bohater Dzikiego Zachodu — Jack Teksas“ — przeczytał półgłosem tytuł dzieła, a potem patrzał ciekawie na ziemię, gdzie leżała zabita.

— Czego pan szukasz, panie Holmes? — zapytał mr. Gordon.

— Śladów mordercy! — brzmiała krótko odpowiedź.

— Mordercy? Czyż przypuszczasz pan możliwość morderstwa? O ile ja wnoszę zachodzi tu zwyczajny wypadek samobójstwa i to mi najzupełniej wystarcza!

— A może nie!

— Morderstwo w celach rabunkowych — dajmy na to, jest zupełnie wykluczone — upierał się drugi. — Zegarek, łańcuszek, pierścionki, wszystko jest jak było! A morderstwo ze zemsty? Mój panie! Tu leży jeszcze rewolwer, którym własnoręcznie śmierć sobie zadała!

— Któż to panu powiedział? — zapytał Holmes.

— Wszystko przemawia za tem!

— A ja jestem wprost przeciwnego zdania! — rzekł Holmes i wzruszył ramionami.

— Jak zwykle! — rzucił inspektor zgryźliwie, ale detektyw mówił dalej niezrażony:

— Człowiek, noszący się z myślą samobójstwa, nie idzie na przechadzkę do lasu celem zbierania kwiatów, i w ostatnich chwilach nie zajmuje się lekturą i do tego jeszcze tak niewinną, jak „Jack Teksas, bohater Dzikiego Zachodu“, stanowiących strawę tylko dla umysłów czystych, wesołych i nie zaćmionych niczem. Nieszczęśliwa zginęła nagle z obcej ręki, wskazuje już na to wyraz przerażenia na jej twarzy.

— Rzecz zapatrywania! — zauważył inspektor bawiąc się rewolwerem zabitej, a potem, panie inspektorze! — mówił Holmes dalej — przypatrz się pan tylko uważnie ziemi pomiędzy brzegiem a miejscem, gdzie popełniono morderstwo. Liście zaścielające trawę są zgniecione, a sposób zgniecenia ich wskazuje na to, że ciągnięto tą drogą jakieś ciężkie ciało — —

— Po co?

— Aby zwłoki ukryć w zaroślach. Nieszczęśliwa ta została bezwątpienia zastrzelona z nienacka, z tyłu, gdy po przechadzce spoczywała na trawie — i to nie dawniej jak przed dwoma godzinami, gdyż, jak pan sam zauważy stężenie pośmiertne jeszcze nie przyszło!

— Mówisz pan to tonem wyroczni, jakby wszystko było bezwarunkowo ustalone i udowodnione!

— Takie jest moje przekonanie.

— Pozwalam sobie inaczej o tem myśleć!

— To wolno panu! — —

I z temi słowy zwrócił się znowu Szerlok Holmes do zabitej.

Tymczasem koroner spisał protokół z oględzin zwłok, a urzędnicy, rozmawiając z cicha ze sobą, oddalili się nieco.

Inspektor skinął na jednego z urzędników.

— Panie Brown! wyjdź pan na gościniec i zatrzymaj pierwszy lepszy wóz. Musi odstawić trupa do najbliższego domu przedpogrzebowego. To będzie najkrótszy proces.

Urzędnik pobiegł i zniknął między drzewami. Niezadługo powrócił, ciągnąc formalnie za sobą jakiegoś wieśniaka żywo gestykulującego.

— Panie! — słyszano już zdaleka głos jego. — Nie mogę na wozie, którym chleb wożę, taszczyć trupów! Nikt odemnie przecież potem chleba nie weźmie! Będę więc zrujnowany na wieki wieków amen!

Rozdrażniony podszedł do Holmesa, którego widocznie uważał za najstarszego z policystów i rzekł do niego, zdjąwszy czapkę z głowy:

— Panie! przecież pan nie możesz wymagać tego odemnie! Sprawa się rozniesie i będą potem mówić: „Stary Miller wkłada między chleb śmierdzące trupy, nie! tegobym nie zniósł... — rzucił okiem na zabitą i w tej chwili wydał okrzyk przerażenia.

— Na miłość Boską! Toż to jest pani Blackstone! — i odwrócił się.

— Czy znałeś ją pan osobiście?! — zapytał Holmes, tając wielkie zainteresowanie.

— Czy ją znałem? — starzec nie mógł się oprzeć wzruszeniu. — Przecież dostarczam tam chleb codzień! Jeszcze dzisiaj o godzinie 5-tej rano widziałem ją! Właśnie wychodziła na spacer, bez kapelusza, z parasolką w ręku! Tam, mieszka naprzeciwko! — wskazał biczem na wschód! — Jeszcze mi mówiła: „Ej Millerze, kiepski chleb mi dostarczacie!“ To była bardzo sympatyczna pani! No, a teraz umarła!... Zastrzelili ją, jak widzę — to straszne! Nie! coś podobnego nie mógłby człowiek sobie wymyślić!

— Czy nieboszczka była zamężna? — przerwał wielki detektyw wynurzenia rozmownego staruszka.

— Tak jest! od roku! Jej mąż jest literatem, ale tylko tak dla rozrywki! Są dobrzy ludzie, są bogaci ludzie, to jest ona miała pieniądze, bo on jest goły jak bizun!

— Brown! — rozkazał inspektor jednemu z podwładnych. Zrób pan z gałęzi i liści nosze, pan to tak dobrze umie! Na tem położymy trupa i przeniesiemy go do mieszkania.

ROZDZIAŁ II.

Ostatni list zastrzelonej.

Szerlok Holmes i inspektor Gordon, szli w kierunku domu wskazanego przez starego rozwoziciela chleba. Była to mała, piękna willa, położona w rozległym ogrodzie, otoczonym wysokim parkanem.

Niektóre okna były zasłonięte żaluzyami, inne na rozścież otwarte.

Szerlok Holmes chciał otworzyć bramę ogrodową.

Była zamknięta, zadzwonił i w tej chwili ukazała się w oknie sympatyczna główka dziewczęcia w czepeczku, a następnie wyszła w białym fartuszku fertyczna pokojóweczka.

— Co panowie sobie życzą?! — zapytała, rzucają badawcze spojrzenie na obcych.

— Czy pan Blackstone jest w domu?

— Pan śpi jeszcze, ale mimo tego mogę panów zameldować..

Z tymi słowy wpuściła gości do sieni i chciała zamknąć drzwi za sobą.

— Jeszcze chwilkę! — rzekł Szerlok Holmes, kładąc rękę na klamce — Otwórzno panna. Jeszcze nie wszyscy jesteśmy. Proszę się tylko nie zlęknąć! Oto niosą panią — —

— Co? panią Blackstone — zawołała, spojrzawszy trwożnie w twarz mówiacego — Co się jej stało?

Wielki detektyw rzucił okiem na szosę, niosący mary ze zwłokami zbliżali się powoli.

Na to odezwał się inspektor Gordon:

— Zastrzeliła się dzisiaj w Kew-Garden!

— Zastrzeliła się pani Blackstone?! O! litościwe nieba! — wrzasnęła dziewczyna załamując ręce.

— Czy panienka była w służbie u nieboszczki?

— Tak jest! — odpowiedziała, a twarz jej była blada niemal tak, jak jej czepeczek na głowie.

— Czy mógłbym wiedzieć, jakie jest imię i nazwisko panienki.

— Elżbieta Mitschel.

Holmes zanotował w notesie jej imię obok imienia handlarza chleba.

— Kiedyż więc widziałaś swoją panią po raz ostatni?

— Dzisiaj rano o godzinie 5-tej. Pani Blackstone zwykła była bardzo wcześnie wstawać. Zawsze zrana chodziła na spacer.

— Czy sama?

— Tak! Zawsze sama! Pan spał jeszcze zazwyczaj. I my musiałyśmy wcześnie się zrywać.

— Co za „my“?

— Jane, dziewczyna do wszystkiego i ja.

— Kto jest jeszcze z domowników?

— Nie ma nikogo!...

— Czy pani Blackstone nie była dzisiejszego rana zirytowana lub podrażniona?

— Bynajmniej! Dowcipkowała nawet na temat zbyt gorącej herbaty, rozmawiała również bardzo swobodnie z człowiekiem dostarczającym nam pieczywa. To była pani bardzo dobra i — —

Przerwała sobie opowiadanie strasznym krzykiem.

Ujrzała wnoszone mary ze zwłokami swej pani

— Pani Blackstone! Czyż to możliwe?! — krzyczała dziewczyna rozpaczliwie — O! biedna, nieszczęśliwa pani!...

I zasłoniła twarz fartuszkiem.

— Zbudź, moje dziecko, pana Blackstone! — rozkazał inspektor — i uprzedź go w możliwie delikatny sposób o tem wszystkiem, co zaszło!

Podał jej kartę wizytową, do której dołączył Szerlok Holmes i swoją i dziewczyna łkając, poszła spełnić rozkaz.

Zwłoki złożono tymczasem w jednym z eleganckich saloników, a wkrótce powróciła zapłakana dziewczyna i otworzyła boczne drzwi z korytarza.

— Czy mogę panów prosić? — zapytała.

W milczeniu wstąpili obaj detektywi do wspa-

niale urządzonego salonu. Zaledwie usiedli na miękkich, aksamitnych fotelach, gdy na schodach dały się słyszeć silne, męzkie kroki.

We drzwiach ukazał się blady, z zburzonymi włosami i błędnemi oczyma — wysoki przystojny brunet.

Szerlok Holmes i Gordon podnieśli się.

— Pan Blackstone? — zapytał superintendent uprzejmie, a gdy zapytany w milczeniu tylko głową skinął — rzekł poważnie:

— Mr. Holmes i ja jesteśmy, niestety! posłami złej wieści! Pani Blackstone popełniła samobójstwo z powodów dla nas jako dla ludzi obcych — zupełnie niezrozumiałych. Czy pan nie domyśla się czasem motywów tego strasznego czynu?

Szerlok Holmes siedział przed dużem weneckiem lustrem. Zdawało się, że całkiem obojętnie patrzy w szklanną taflę. W rzeczywistości jednak obserwował bystro człowieka, który tak nagle stał się wdowcem.

Zauważył, że przy słowach Gordona: „Pani Blackstone popełniła samobójstwo“ — odetchnął on z pewną ulgą i zmartwiałe jego rysy ożywiły się znacznie, ale tylko na moment. Na zapytanie Gordona sięgnął do portfejlu i wydobył zeń list bez koperty.

— Czytaj pan sam!... To jest pożegnalny list nieszczęśliwej mojej żony! Ja jeszcze nie mam sił, nie mogę myśli zebrać!

Podał Gordonowi papier i głowę ukrył w dłoniach. Zdawało się, że jest to człowiek najzupełniej złamany moralnie i nieszczęśliwy.

Gordon przebiegł oczyma pismo i oddał je w milczeniu Szerlokowi Holmesowi, który nie spuszczał go z oka.

Holmes wstał i poszedł po cichu do okna.

List ten brzmiał, jak następuje:

„Najukochańszy!

Noc zaległa wszystkie drogi! noc roztacza skrzydła swoje nad światem w śnie pogrążonym. Ale i w mojem sercu są mroki nocne i dusza moja pogrążona w otchłaniach ciemności! Najdroższy! Gdy zdecydowałam się zostać Twoją żoną, to było to objawem miłości, szalonej, bez pamięci, przezwyciężającej wszystko, która mnie skłoniła do tego, a teraz tak smutno nastroiła moją duszę.

Wtedy wierzyłam w to, że mnie kochasz, teraz widzę, że się pomyliłam!

O! nie mów nic, nie broń się — wiem o tem, że jesteś bez winy! Może i Ty sam się łudzisz, wmawiasz sam w siebie miłość, a nie wiesz o tem, że to nie miłość do mnie, lecz litość nademną!

A może naprawdę kochasz mnie jeszcze dziś i jeszcze jutro będziesz kochał?!... A ja zawsze muszę o tem pamiętać i powtarzam sobie to ciągle: Przyjść musi taki dzień, kiedy kochać mnie przestaniesz!...

Ty jesteś jeszcze tak młody, a ja nie, mój Drogi! Dzisiaj może całujesz jeszcze z uśmiechem pojedyncze białe nitki, które znachodzisz w moich włosach, ale może już jutro — siwizna moja zrazi Twój smak estetyczny i przyjdzie Ci na myśl znaczna różnica naszego wieku.

I potem przyszłoby to, czego się zawsze obawiałam: przestałbyś mnie kochać, stałabym Ci się obojętną!

O! już sama myśl robi mnie szaloną — nie zastanawiam się nad niczem i nie chcę o niczem wiedzieć! Twoja miłość daje mi życie i siłę — odbierz mi ją, a upadnę bezwładnie, jak trawa nagle kosą podcięta.

Mam być pozbawiona Twej miłości, ja czuję, że nie będę mogła obyć się bez niej! Wolę śmierć niż życie bez słońca, niż marne wegetowanie w ciemnościach!

Czuję, że coraz głębiej zapadam się w ciemności.

Noc otacza mój mózg i zmysły. Widzę, że najlepiej zrobię, ustępując w milczeniu ze świata. Ostatnie „Bądź zdrów!“ — przesyłam ci z brzegu grobu, jeszcze jedną gorącą podziękę. Bóg Ci zapłać za Twoją miłość. Jeszcze raz Cię całuję! Najdroższy mój! Farewell!

Ellen“.

Papier zaszeleściał w ręku detektywa, gdy go złożył we czworo i niby w zamyśleniu wsunął do kieszeni. Nikt nie spostrzegł tego manewru.

Po chwili podniósł Andrew Blackstone głowę do góry.

— Czy nie poczytalibyście mi panowie za niegrzeczność, gdybym was poprosił o pozostawienie mnie samym? — rzekł bezdźwięcznym, zmęczonym głosem.

— Ależ bynajmniej, panie Blackstone! To się samo przez się rozumie! — pospieszył z odpowiedzią inspektor policyjny, podczas, gdy Holmes który chętnie zadałby jeszcze kilka pytań, skinął tylko zimno głową.

Szli razem ku bramie, prowadzącej z ogrodu na ulicę.

Na szerokiej drodze wysypanej żwirem stanął Holmes nagle i rzekł swojemu towarzyszowi:

— Przepraszam pana, w tej chwili służę! — utkwił oczy z uporem na ziemi, gdzie widniały wydeptane ślady męskiego obuwia. Ślady kończyły się w cienistej altance. Stół, ławka i stołek, zrobione w nieheblowanego drzewa gruszkowego — stanowiły całe umeblowanie tego ustronia. Rodzaj okna bluszczem okrążonego, otwierało widok na leśne jeziorko, gdzie znaleziono zwłoki kobiety.

Ślady na ziemi wskazywały na to, że przed chwilą był tu ktoś w altanie.

Zmysł śledczy obudził się w Holmesie.

Zaczął starannie przepatrywać ziemię. Nie znalazł nic, oprócz zmiętego kawałka papieru. Wyprostował go. Był to biały papier poplamiony czerwonawemi plamami, jakby kto nim obcierał zardzewiałe żelazo.

Holmes namordował się długo, zanim odcyfrował kilka wyrazów skreślonych na nim. Był to charakter damskiej ręki.

Z zadowoleniem schował świstek do portfelu i pospieszył do inspektora, który stał w bramie czekając na niego niecierpliwie.

Nie zważając na to, zwrócił się detektyw do służącej.

— Dokąd udała się pani Blackstone, gdy dzisiaj zrana wyszła z domu?

Dziewczyna spojrzała na niego z zdziwieniem.

— Prosto przez ogród na ulicę! — odrzekła. — Sama otwierałam jej bramę!

— Czy nie była przedtem w tej tam altanie? — badał dalej.

Pokojówka potrząsnęła głową.

— Nie! — odrzekła — to jest altanka pana!

— Jakto pana?

— Tu zatrzymuje się pan zazwyczaj. Stamtąd zawsze strzela do wróbli!

— Tak? do wróbli? — powtórzył Holmes w zamyśleniu, poczem zwrócił się do inspektora tracącego już resztki cierpliwości.

— Pójdźmy, panie Gordon! — rzekł — czuję, że mój żołądek swych praw się dopomina!

Żelazna brama zamknęła się za nimi.

— Nie pojmuję, co pana tu zatrzymuje właściwie? Wypadek jeden z wielu, prosty i pojedynczy!

Detektyw wzruszył ramionami.

— Pod gładką powierzchnią morza kryją się bezdenne głębiny!

— No, ale list pożegnalny przekonał pana chyba ostatecznie, ty stary sceptyku!

— Nie, wcale mnie nie przekonał!

Detektyw zapalił papierosa.

— To jeszcze ciągle stoisz pan przy swoim pomyśle, że zaszła tu jakaś zbrodnia?

— Jeszcze ciągle — odpowiedział Holmes spokojnie.

— Ależ człowieku!... Z jednej strony ta ciągła twoja podejrzliwość, z drugiej twoja zimna krew — — —

— Dwie wielkie rzeczy, które zawsze prowadzą detektywa do celu!... — odpowiedział Holmes z uśmiechem.

ROZDZIAŁ III.

Odwiedziny.

Wesoło trzaskał ogień na kominku, przed którym siedział sobie na fotelu Szerlok Holmes i wygrzewał się jak bury kot przy płomieniu.

Ulubioną fajeczkę trzymał w zębach, nogi sparł na złoconym brzegu kominka i pozostawił wolny bieg myślom swoim.

W tem zapukał ktoś do drzwi.

— Come in! — rzekł Holmes uprzejmie. — W drzwiach ukazała się sympatyczna twarz pani Bonnet.

— Jakaś starsza dama życzy sobie mówić z panem! — rzekła podając Holmesowi kartę wizytową — Mistres M. Castellone! — przeczytał.

Potem wstał, poprawił krawat i włosy przed lustrem i rzekł krótko:

— Prosić!

Wkrótce weszła do pokoju szanowna matrona w starszym wieku, ubrana czarno, twarz również zasłoniona gęstym, czarnym welonem.

Holmes postąpił grzecznie kilka kroków naprzeciw gościa, skłonił się uprzejmie i wskazał damie ręką fotel przed kominkiem.

— Panie Holmes! — rzekła sędziwa kobieta podnosząc czarny welon i ukazując zapłakane oczy. — Proszę pana o radę i pomoc w mojem

żarówno rozpaczliwem, jak i niezwykłem położeniu.

— Jestem matką dwojga córek — bliźniąt, z których jedna bawi dla studyów w Paryżu; druga, z powodu której do pana przychodzę — była od roku zamężna.

Zamilkła, osuszając batystową chusteczką łzy.

— Jeżeli mogę być w czem pomocnym szanownej pani — —

— Pomódz już pan nic nie możesz — przerwała mu smutno — moja córka nie żyje — —

A potem zawołała podniesionym głosem:

— Mówią, że samobójstwem skończyła... kto? Moja wesoła, kochająca życie Ellen! Nie, po tysiąc razy — nie!! Oko matki bystrzej patrzy! Panie! moją córkę zamordowano! Niech wszystko przemawia za samobójstwem — mnie to nie oszuka!

— A czy mogę zapytać o pełne nazwisko córki pani? — zapytał Holmes z współczuciem.

— Była ona wydaną za pewnego literata niejakiego Andrewa Blackstone. Mieli w Chiswicku willę.

— Ach! — krzyknął Holmes takim tonem, że przybyła spojrzała na niego zdziwiona.

— Czy pan go zna? — zapytała.

— Byłem przypadkowo przy znalezieniu zwłok nieszczęśliwej córki pani i poznałem go przy tej sposobności przelotnie. Ale proszę, mów pani dalej!

— Opowiedz mi pan, jak to było! — zapytała dama z żałością.

— Niema tu wiele do opowiadania! — odrzekł wielki detektyw i przedstawił zwięźle scenę znalezienia zwłok nad stawem. Domysłów jednak swoich, odnośnie do przyczyny, a raczej sprawcy śmierci nie zdradził przed matką.

— Ach! — rzekła, gdy skończył. — Ja byłam zawsze przeciwną temu małżeństwu. Człowiek o wiele młodszy od niej, o charakterze co najmniej — niewyraźnym. Andrew Blackstone to jest blagier, który chciałby uchodzić za coś, czem nie jest i nie będzie nigdy. W pierwszej chwili może ująć swoją powierzchownością, dobremi manierami, błyszczy pożyczaną mądrością — ale — nie wszystko złoto, co się błyszczy!

Szerlok Holmes nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Daruj pani! — zauważył — ale nie wydajesz mi się zbyt czułą, ani kochającą teściową! Czy pani przypisuje swojemu zięciowi pośrednią winę tragicznej śmierci swej córki?!

— Pośrednią? — zawołała. — Panie Holmes! On jest bezpośrednim i jedynym mordercą mojego dziecka, to tak pewne, jak jestem matką Ellen!

Zbladła ze wzruszenia.

— Ale jak pani wytłómaczy ów pożegnalny list nieboszczki?

— Nie widziałam go na oczy! On mi tylko mówił o jakimś liście i powtarzał mi dosłownie prawie treść jego. Panie Holmes! Ja po prostu nie wierzę, że list taki egzystuje!

— A jednak musisz pani uwierzyć! — przerwał detektyw spokojnie.

— O ile?

— Ponieważ jestem w posiadaniu tego listu!

Podniósł się i z jednego fachu biurka dostał ów historyczny papier, który podał damie, a ta gorączkowo przeglądnęła go.

Nastąpiła dłuższa pauza. Wreszcie odezwała się znowu dama.

— A ja mimo tego wszystkiego nie mogę w samobójstwo jej uwierzyć!

— Czy to jest charakter pisma córki pani? — zapytał Holmes.

— Tak! to jej pismo! Jej, bez wątpienia! Może pan nawet porównać. Mam przy sobie kilka dawniejszych jej listów.

Wydobyła z małej torebki paczkę papierów i podała je detektywowi.

— Sądzę, że fałszerstwo listu pożegnalnego jest wykluczone! Dla wszelkiej pewności jednak przedłożę wszystkie listy powagom w dziedzinie grafologii, o ile oczywiście życzy sobie pani tego!...

Ale co za powód mógł mieć ten człowiek w pozbawieniu życia kobiety z pewnością ładnej i miłej, jaką była córka szanownej pani?

— Chciwość była powodem! — krzyknęła stara kobieta. — Z chciwości ożenił się z nią. Moja córka była zamożna. Potrafił ją też do tego stopnia usidłać, że zrobiła testament na jego korzyść, tak, że teraz jest jej jeneralnym spadkobiercą!...

Genialny kryminalista gwizdnął cicho przez zęby.

— Kiedy widziała pani po raz ostatni swą córkę?

— Na dwa dni przed jej śmiercią!

— Czy robiła wrażenie przygnębionej, zniechęconej do życia?

— Bynajmniej!

— Czy nie nosiła broni przy sobie?

— O tem nie wiem! Wiem natomiast, że mój teść ćwiczył się ciągle w robieniu bronią. Strzelał w ogrodzie do celu.

— Jak oni żyli ze sobą?

— Ani gorzej, ani lepiej jak podobne konwencyonalne małżeństwa!

— Czy córka pani nie skarżyła się nigdy na swego męża?

— Nie, nigdy! Na to była zbyt dumną i zbyt zamkniętą w sobie.

— Dobrze! — rzekł detektyw po chwili — biorę tą sprawę w swoje ręce. Zechciej pani zostawić mi swój adres. Usłyszy pani o mnie niezadługo!...

* * *

W niespełna pół godziny pukał pewien staruszek do willi w Chiswicku. Był to człowiek pochylonej postaci, o siwych bokobrodach i niebieskich okularach.

Był to genialny detektyw — Szerlok Holmes.

— Czy mogę mówić z panem Blackstone? — zapytał pokojówki.

— Żałuję, ale pana niema w domu! Wyszedł.

— Dokąd?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i spojrzała na niego lekceważąco.

— Nie opowiadał mi się! — rzekła opryskliwie, a potem dodała:

— Pan zapewne jesteś dekoratorem, którego pan nasz obstalował. W takim razie trzeba przyjść jutro!

— Obstalowano tu dekoratora? — zapytał Holmes na pozór zupełnie obojętnie.

— Tak! W domu odnawia się wszystko! Być może, że dostaniemy wkrótce nową panią! Pierwsza zastrzeliła się przed kilku dniami!

Zrobiła smutną minkę.

— I już myślicie o jej następczyni?! — zauważył Holmes nadając głosowi swemu ton najżywszego oburzenia. — A czy znasz ją panna?

— W ten sposób wypytuje się tylko chłopów na wsi! — odpowiedziała dziewczyna zuchwale i uciekła.

— Bezczelne stworzenie! — mruknął detektyw do siebie.

Chociaż musiał przyznać, że była bardzo milutką pokojóweczką, prawdziwy typ owej „kotki pokojowej opiewanej na rozmaite tony.

Szelmowskie oczka Daicy patrzyły wyzywająco przed siebie, niebieska bluzka z krótkiemi rękawkami i biały fartuszek osłaniały najpiękniejsze kształty, a z pod półkrótkiej sukienki wysuwała się kokieteryjnie nóżka w małym płytkim pantofelku, à jour pończoszce.

Nie wiedząc na razie, co począć, zawrócił ku domowi, gdy naprzeciw ujrzał starą drewnianą ruderę, a na jej bramie napis:

Ten dom jest
każdego czasu
do wynajęcia.

Nowy pomysł zabłysnął w głowie Holmesa. Wszedł do starego domu i po długiem szukaniu właściciela odnalazł go w osobie starego tetryka, z którym po krótkich targach wynajął ruderę dla siebie na przeciąg trzech miesięcy.

Teraz — mieszkając w bezpośredniem sąsiedztwie z domem, gdzie spełniono tajemniczą zbrodnię — będzie mógł dokładnie obserwować jej mieszkańców i wyciągnąć z ich zachowania — odpowiednie wnioski.

ROZDZIAŁ IV.

Niema jak być rzemieślnikiem!

Holmes uprzedził ucznia swego o wszystkiem, nie pomijając oczywiście dwóch ważnych okoliczności, tj. że pan Blackstone odnawia i ozdabia dom cały i potrzebuje tapicera, następnie zaś, że on sam tj. Szerlok Holmes, wynajął na mieszkanie sąsiednią ruderę.

Harry Takson przebrał się za młodego rzemieślnika i w niedługi czas stał przed panem willi w Chiswick, który dumnie go zmierzywszy, oświadczył wyniosłym tonem, że ma wprawdzie tapicerskie roboty w domu, ale do wykonania tych zamówił już jedną z większych firm, że przeto zajęcia mu dać u siebie nie może.

Harry, grając wybornie swoją rolę, zaczął prosić i błagać o litość, że poszukując koniecznie pracy zdecydowany jest za pół darmo nawet pracować, byle tylko cośkolwiek zarobić. I rzeczywiście podał

tak niską cenę, że skąpego człowieka, jakim był p. Blackstone, skusiła ta propozycya. Właściciel willi położył mu tylko na sercu, by wziął się starannie do roboty. Zwłaszcza damski buduar ma być z gruntu zmieniony. Biało-złote ornamentacye ścian, makaty indyjskie i perskie dywany miały zmienić zupełnie fizyonomię saloniku zamieszkiwanego dawniej przez nieboszczkę, pierwszą jego żonę, a przypominającego prostotą i surowością swoją — pensyonarskie pokoje uczennic.

Harry wziął się do roboty z zapałem i udał, że całą uwagę jego pochłonęła praca. Właził na drabinę, upinał draperye, układał festony, zeskakiwał z drabiny — oddalał się o kilka kroków badając niby z oddalenia, czy się ozdoby dobrze wydają i jaki to wszystko efekt sprawia?

Naprawdę jednak zwracał baczną uwagę na to wszystko, co się dzieje w pomieszkaniu.

Jakoż niezadługo zajechała przed bramę willi kareta i wkrótce wszedł do domu pan domu z młodą i piękną kobietą pod ramię. Dama podniosła z twarzy woalkę i do oczu zbliżyła lornetkę w szyldkretowej oprawie.

Młody detektyw ujrzał prześliczną twarz, rozjaśnioną ognistemi, czarnemi oczyma. Na białe czoło spadały miedziano-rude włosy, starannie zresztą pod olbrzymim czarnym kapeluszem ułożone. Długi, powłóczysty płaszcz, podbity gronostajami spływał po jej ramionach, kryjąc pod sobą piękne kształty ciała.

— Czy podoba ci się teraz tutaj, mój skarbie?— zapytał Blackstone cichym głosem.

Piękna damulka pokręciła noskiem i obejrzała pokój na wszystkie strony.

— Tak, tak! — wycedziła wreście — ale czy te staromodne meble zostaną tutaj? Życzyłam sobie przecież lekkich mebelków inkrustowanych, białych zdobnych złotem!

— Będziesz je miała najdroższa! — szepnął Andrew Blakstone z uczuciem w uszko swej ukochanej.

Przytuliła się do niego i patrząc mu zalotnie w oczy, zasypywała czułemi słówkami, na które odpowiadał zachwycającym uśmiechem.

Harry udawał, że go to wszystko nic nie obchodzi, ale nieznacznie zbliżył się do mówiących, tak, by najmniejszego słówka z ich rozmowy nie uronić.

Teraz pospieszyła ładna kobietka do małego damskiego biurka, pozostałości po nieboszczce.

— Ach! cóż za staromodny rupieć! — rzekła z lekceważącym uśmiechem — zupełnie jak pamiątka po dobrej prababci!

Siadła przed biurkiem i ujęła pióro, bawiąc się, niem, potem szarpnęła kolejno za zamknięte szufladki.

— Ach! wszystko pozamykane! Daj mi klucza Andrewie!

— Ależ w szufladach nic nie ma, moja Dino, coby mogło cię interesować! Listy i książki pamiątkowe z czasów panieńskich mojej żony.

— I listy miłosne od ciebie! — rzekła obrzucając go wzrokiem pełnym wyrzutu.

— Nie, nie! — odpowiedział — bądź-że rozsądną!

— Daj mi klucze Andrewie! — prosiła łasząc się jak kotka.

A prosiła i pochlebiała tak długo, aż postawiła na swojem.

Odpiął jeden kluczyk z całego pęku, jaki miał przy sobie i podał jej. Sam wyszedł niekontent.

Może ostatki poczucia honoru i pietyzmu nie pozwoliły mu patrzeć na to, jak jego metresa plądruje w papierach jego zmarłej żony.

Bez najmniejszych skrupułów zaczęła kobieta przewracać w papierach, przerzucając paczki listów powiązanych czerwonemi i niebieskiemi wstążeczkami. Odsuwała z pasyą fotografie i albumy i odepchnęła bezmyślnie grubą książkę w szare płótno oprawną.

Wreście rozerwała pakiecik listów poznawszy na nich charakter pisma swego kochanka.

W tej chwili wszedł do pokoju Blackstone.

— Dino! — zawołał z oburzeniem i gniewem —

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Daj pokój temu, proszę cię!—rzekł i chcąc ją oderwać od biurka, dodał:

— Chodź na chwilkę, chcę ci coś pokazać!

Podniosła się i zaciekawiona podążyła za nim. Blackstone wyszedłszy z nią, zamknął drzwi za sobą.

Kocim skokiem znalazł się Harry przy biurku.

— „Uważaj, czy nie uda ci się dostać w ręce jakiego rękopisu zmarłej“! — zalecił mu Holmes.

Chwilę patrzał młody detektyw na biurko zarzucone papierami, a potem wziął grubą książkę w szare płótno oprawną, na której widniał napis: „Pamiętnik“.

Szybko wpuścił książkę za kamizelkę.

Z przyległego pokoju dochodziły odgłosy szeptów i pocałunków, przerywane histerycznym śmiechem i błagalnym głosem Blackstone.

Harry przycisnał do drzwi ucho.

— Zostań ze mną! Już dzisiaj! Dino! Wszak mi to przyrzekłaś!...

— Ach! ty tyranie! — odparł głos kobiecy — Co na to ludzie powiedzą?!

— I ty się o to pytasz?! Mogę cię zresztą wprowadzić jako damę zarządzającą mym domem!

Po chwili mówił znowu:

— Dino! Ja wiele złożyłem ci w ofierze! Zrobiłem dla ciebie tyle, ile tylko było w mych siłach! Stałem się fałszerzem, oszustem — Dino! Ja stałem się dla ciebie — —

Urwał, nie dokończył — — — A potem mówił znowu głosem widocznie przez łzy zdławionym:

— Dino! nie opuszczaj mnie! Gdy trwoga i groza mną owładną z powodu czynów moich i sen z powiek mi płoszyć będą — nie chcę być sam!!... Zostań ze mną, Dino, by mnie wyrzuty sumienia nie zabiły!

– Uspokój się! — odpowiedziała miękkim tosem kobieta — Stanie się, jak sobie życzysz! Zostanę przy tobie i nie opuszczę cię już więcej! —

Młody rzemieślnik wysunął się cicho z pokoju. Wiedział już, co chciał wiedzieć! W korytarzu wdział swoją czapeczkę i opuścił willę.

W pół godziny potem dzwoniła młoda, ładna pokojówka do bramy sąsiedniej willi, a raczej rudery, którą jak nam wiadomo, wynajął Szerlok Holmes na trzy miesiące.

Holmes otworzył, ubrany w szlafrok i pantofle.

— Wat is the matter? — zapytał zdziwiony.

Nie odpowiadając wcale, wcisnęła się pokojówka do pokoju. Położyła koszyczek na stole, zerwała chusteczkę z głowy i w tej chwili poznał wielki detektyw w mniemanej pokojówce — pomocnika swego i ulubionego ucznia Harry Taksona.

— Good evening dearest Master! — rzekła z uśmiechem.

— Harry! ty dyable wcielony! — zawołał mistrz wesoło i podał mu rękę do serdecznego uścisku.

Potem usiadł Harry swobodnie w fotelu i założył nogę na nogę, tak, że z pod spódniczki wyraźnie było widać męskie spodnie — i zapalił sobie papierosa.

— Co słychać nowego? — zapytał Holmes.

— Bardzo wiele Mistrzu!

I zaczął kolejno opowiadać wszystko to, co widział i słyszał.

Holmes słuchał go z wrastającem zajęciem, a gdy wreście Harry dobył z koszyczka w płótno oprawny pamiętnik, poskoczył Szerlok Holmes żywo, wydarł mu go formalnie z rąk i usiadłszy przy biurku, zaczął przy świetle chciwie go przeglądać.

Nagle wstał i zawołał:

— Harry! Harry! Zagadka rozwiązana! Tu mamy rozwiązanie!... — Zacierał ręce i trzaskał z zadowolenia palcami.

— To nowe odkrycie! — krzyczał w podnieceniu. — Nowe światło w tej ciemnej aferze!

Zdumiony pospieszył Harry do biurka, podczas, gdy detektyw usiadł i zbliżył lampę do książki.

— Tu! patrz! czytaj!... — wołał stłumionym ze wzruszenia głosem.

Obydwaj detektywi pochylili się nad książką.—

ROZDZIAŁ V.

Pamiętnik umarłej.

Chiswick, 30. 7. 07.

„O! jakżeż dziwnem jest życie! Ja, która śniłam w mych snach dziewczęcych o małżeństwie z dyplomatą, o wielkiem nazwisku i stanowisku wpływowem — ja, która chciałam być podziwianą czczoną kobietą, gwiazdą towarzystwa — jestem niczem więcej, jak żoną skromnego, nieznanego jeszcze nikomu literata. Samotnie mijają dnie moje w tej ustronnej, ale uroczej posiadłości. Nikt się nie troszczy o mnie — — O! nie! przeciwnie! Dzisiaj zaproponował mi mąż mój, bym pisała za jego dyktatem.

Zgodziłam się chętnie na to.

To będzie pewna odmiana w monotonnem życiu mojem!

Adrew zdaje się ma wielki talent!... Może i on będzie kiedyś sławnym?!

Dnia 2. 8. 07.

Dzisiaj, po moim codziennym spacerze, który zawsze z książką w ręce odbywam — zaczęliśmy sławne owo dyktowanie.

Andrew pisze romans: „Kandydatka na samobójczynię". Bohaterka nosi moje imię — Ellen! Jak to pięknie ze strony mego męża, że ulubionej swojej bohaterce nadał moje imię, aczkolwiek nic z nią wspólnego nie mam! Ja, dzięki Bogu nie noszę się wcale z samobójczemi zamiarami! Kocham życie gorąco, fanatycznie i nic tak dalekiem nie jest odemnie jak myśl o śmierci!

Dnia 10. 8. 07.

Obecnie nie mogę się uskarżać na nudy. Wszystkie godziny dnia mam zajęte. Całemi godzinami wsłuchuję się w słowa mego męża i utrwalam je piórem na papierze. Jestem jego pomocnikiem, sekretarzem i dumną jestem z tego.

Z tendencyą powieści nie mogę zupełnie się zgodzić!

Dziewczyna starsza poślubia mężczyznę o wiele młodszego od siebie, i sądzi, że miłość jego z powodu różnicy wieku — z czasem oziębnie i zejdzie do zera.

Tego, to już pojąć nie mogę! Co ma wiek do czynienia z miłością?! Dwa serca, rozumiejące się i kochające są zawsze w tym samym wieku!

A czyż i ja nie jestem znacznie starszą od mojego męża?

A jednak z powodu tego nie przyszło mi nigdy do głowy, że Andrew mógłby mnie przestać kochac! Z pewnością! Ja jestem optymistką, podczas, gdy imienniczka moja z romansu jest zdecydowanym typem pesymistki! No, ostatecznie jest to tylko romans, który piszemy. Po co zresztą łamać sobie nad tem głowę?!...

Dnia 22. 8. 07.

Piszemy, jakbyśmy tem sobie mieli nieśmiertelność zdobyć. Wolałabym jednak, gdyby Andrew był sobie inny przedmiot czy tam temat obrał. Żałobnemi barwami maluje teraz stan duszy i umysłu nieszczęśliwej Ellen.

Nie mogę tego ukryć, że tego rodzaju powieściopisarstwo okropnie mi działa na nerwy. Czy Andrew nie mógł obrać za bohaterkę swego romansu jakąś wesołą, pogodną istotę, lub też jakiś osobnik zdrowy i silny, pełen wiary w siebie i życie, jakim — nie pochlebiając sobie — ja jestem na przykład! Wtedy byłoby więcej usprawiedliwione, gdyby bohaterce swej dał był moje imię.

Dnia 6. 9. 07.

Praca nad romansem postępuje. Piszę 3—4 godzin dziennie według dyktatu. Cokolwiek mnie to męczy, ale ostatecznie jest to jedyna pora, w której widzę mego męża.

Andrew jest obecnie prawie ciągle po za domem, gdzie zaledwie ukazuje się na obiad. Często przychodzi dopiero późną nocą. Co on porabia w tym czasie? Ale mam do niego bezgraniczne zaufanie. Co on robi wtedy, gdy go w domu nie ma? Cóżby robił? Zapewne zbiera materyał do swego romansu!

Dnia 10. 9. 07.

Dostałam list od mojej jedynej siostry, od mojej kochanej Mery! Z początkiem sierpnia, lub końcem września przybywa z Paryża do Londynu. Już nie będę taka osamotniona! Andrewa znowu niema dzisiaj w domu. Ale pocieszam się tem, że romans jest już na ukończeniu, a wtedy znajdzie więcej czasu dla mnie! A zresztą Mery przyjeżdża....

Dnia 15. 9. 07.

Andrew jest w wybornym humorze. Znowu pracowaliśmy wspólnie. Romans się już kończy.

Dzisiaj zrobiłam całkiem formalny testament, tj. spisałam ostatnią wolę bohaterki Andrewa który mi ją podyktował.

Nie mogłam się oprzeć przykremu wrażeniu, na każdy sposób było to dość oryginalne i interesujące. „Moja ostatnia wola" — napisałam uroczyście olbrzymiemi literami (przecież to właściwie zabawka). a pod tem podpisałam „Ellen" — moje własne imię.

— „No, napisz jeszcze „Blackstone" — rzekł mąż mój w żarcie, a ja zrobiłam to głupstwo. Chciałam przecież raz widzieć, jakby to wyglądało, gdybym na prawdę własny testament zrobiła!

Dnia 23. 9. 1907.

Ostatnie pociągnięcie piórem zrobione — romans skończony —

Andrew podyktował mi dzisiaj wzruszający list, który „Kandydatka na samobójczynię" — Ellen

pisze w ostatnich godzinach do swego męża, którego tak bardzo kocha, który jednak — jej zdaniem — nie odpowiada w równej mierze na jej uczucia. Te słowa wzruszyły mnie na prawdę! Mój poeta zawiesza na razie swoją złotą lutnię, z której umie tak cudowne tony dobywać! Dzięki Bogu!... Teraz będzie miał więcej czasu dla żony! O! jakżeż bardzo się cieszę“!... — —

Na tem skończył się pamiętnik.

Szerlok podniósł głowę. Twarz jego była blada jak płótno; spojrzał przeciągle na Taksona, który podobnie jak i mistrz jego walczył ze wzruszeniem.

Minęła prawie godzina w najgłębszem milczeniu. Mistrz siedział z twarzą ukrytą w dłoniach i myślał.

— Mam już plan w głowie! — rzekł wreście Holmes. — Wiem, że w wykonaniu natrafimy na wiele trudności, ale to darmo! Zbieraj się Harry! Idziemy do matki zamordowanej kobiety!...

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

— Ach! panie Holmes! — zawołała pani Castellone, witając detektywów w obszernej komnacie, której od śmierci Ellen nie opuszczała prawie — Panie Holmes! Jakie nowiny pan przynosi?!

Szerlok Holmes usiadł na wskazanym fotelu i rzekł ze smutkiem:

— Pani Castellone! Straszne podejrzenia pani sprawdzają się! Ellen Blackstone padła z morderczej ręki!

Twarz starej kobiety pobladła.

— A morderca? — spytała nieszczęśliwa matka z drżeniem w głosie.

— Mordercą jest jej własny mąż — Andrew Blackstone! Teraz mam już zupełną pewność! Zechciej się pani przekonać.

Podał jej pamiętnik i wskazał wszystkie miejsca, świadczące przeciw niecnemu człowiekowi.

Przeglądnąwszy książkę, upadła bezwładnie na fotel, a pamiętnik położyła obok siebie, na bronzowej balustradzie kominka. Blask płonącego ognia, rzucał na karty jaskrawe promienie, że zdawało się, jakby były krwią oblane.

Zapanowało grobowe milczenie.

Słychać było tylko trzeszczenie ognia na kominku. Wreszcie stara dama podniosła zrozpaczone oczy na Holmesa, który rzekł:

— Jeżeli szanowna pani czuje się na siłach, to obmyślmy wspólnie dalszą akcyę!... Jestem zdania, by po prostu prokuratoryi państwa przedłożyć pamiętnik zamordowanej, a wystarczy to najzupełniej do aresztowania zbrodniarza.

Wtem okrzyk zgrozy wydarł się równocześnie z piersi wszystkich obecnych.

Pani Castellone trąciła niechcący ramieniem w balustradę kominka i książka spoczywająca na nim, spadła w ogień, który natychmiast objął jej karty.

Nie było ratunku, bo książka upadła z rozwartemi kartami, które natychmiast stały się łupem pożerczego żywiołu.

Szerlok Holmes pierwszy uprzytomniał, chwycił za żelazne szczypce i chciał ratować cenny rękopis, ale daremnie!... Karty pamiętnika były zupełnie zwęglone.

— No, teraz już wszystko na nic! — rzekł Holmes zmięszanym, niechętnym głosem.

— I śmierć mojego dziecka nie będzie pomszczona?! — zawołała stara dama z rozpaczą — Bezkarnie ma ujść skrytobójca własnej żony!...

Jak szalona zacisnęła pięście, wtem otworzyły się drzwi i do pokoju weszła przepiękna, młoda dziewczyna, prawdziwe uosobnienie poranku lub wiosny.

— Co się stało matko?! — zapytała przestraszona, spoglądając po obecnych.

Ze zdumieniem patrzyli na nią Szerlok Holmes i Harry Takson.

Czy to nie była ona — Ellen Blackstone?!

Przed oczyma detektywa ukazał się znowu obraz biało ubranej, zabitej kobiety. — To ona. W każdym rysie, w każdym szczególe do tamtej podobna!

Szerlok Holmes przetarł oczy.

Czy śni? Czy go wzrok zawodzi?!

Oprzytomnił go głos starej matrony:

— Moja córka, Mery, bliźniacza siostra Ellen!

Szerlok Holmes odetchnął. Tu los nastręczył mu rozwiązanie krwawej zagadki!

— Uderzające podobieństwo! — mruknął i w tej chwili powstał w umyśle jego plan. Podczas, gdy matka opowiadała córce ze łzami w oczach o tem, co zaszło — ułożył Holmes cały program działania.

Teraz zwrócił się do łkającej panienki i rzekł:

— Teraz wiesz pani o wszystkiem! Mój plan jest następujący: Zmusimy tego łotra do przyznania się, a do tego pomoże nam pani, panno Mery,

a raczej niezwykłe podobieństwo jej z zamordowaną!

Gorączkowo zaczął rozwijać swój plan, obydwiekobiety słuchały go z zapartym oddechem, a gdy skończył schwyciła go matka za ręce.

— Niech tak będzie!... Bóg pozwoli pomścić mi się za moje nieszczęśliwe dziecko!

— Miejmy nadzieję! — rzekł detektyw — ale jest rzeczą bardzo ważną, by pani — tu zwrócił się do pani Castellone — pozornie pogodziła się ze zbrodniarzem. Nie potrzebuję dodawać, że nie śmie mu pani nic wspominać o istnieniu drugiej córki, panny Mery! Nawiąże pani z nim stosunki w ten sposób, że udasz się do willi, prosząc go o darowanie kilku sukien nieboszczki na pamiątkę. Resztę pozostaw pani mnie!... Czy się pani z tem zgadza?

— Całem sercem, Good bye mr. Holmes and many, many thanks!

— Nie dziękuj pani jeszcze! — odparł wielki człowiek — Na podziękowania będzie czas, gdy plan nasz się uda!

— O ile siły moje podołają, zrobię wszystko, czego pan żąda! — zawołała Mery z ogniem w oczach.

— Rachuję na panią! — rzekł Holmes, podając jej rękę — Farewell!...

Pożegnał się ze strapionemi kobietami i wyszedł ze swym pomocnikiem.

ROZDZIAŁ VI.

„J'accuse!!"

Ogród eleganckiej willi, własności pana Blackstone i zapuszczony, zniszczony park rudery wynajętej przez Holmesa — sąsiadowały ze sobą, i tylko płot napół rozwalony rozdzielał obie posiadłości.

Pewnego dnia stał przy płocie Szerlok Holmes, ucharakteryzowany na poczciwego staruszka i w odpowiedniem wiekowi jego ubraniu — spoglądał ciekawie w ogród wspaniałej willi. Razem ze zmianą swej postaci i charakteru zmienił wielki detektyw i nazwisko swoje.

Zwał się obecnie mr. Costbrand i był drobnym kapitalistą, a zarazem starym kawalerem bez rodziny.

W tym samym czasie odbywał swój codzienny spacer po swoim ogrodzie, właściciel pięknej willi — p. Blackstone.

Mr. Costbrand potrząsnął ze zdumieniem głową, ujrzawszy bogatego swego sąsiada i sam go pierwszy zagadnął:

— Wybacz pan! — rzekł. — Czy mam przyjemność widzieć przed sobą właściciela tej prześlicznej, sielankowej posiadłości?

— Tak jest! Ja nim jestem we własnej osobie! Czy pan życzy sobie czego odemnie? Zauważyłem, że pan śmiesznie głową trzepie, ujrzawszy moją nic nie znaczącą osobę! — mówił z wielkopańską ironią p. Blackstone.

— Ujrzawszy pańską osobę? — bynajmniej! Ta myśl jest odemnie daleka! — usprawiedliwiał się Holmes. — Potrząsam tylko głową nad moją głupotą! Ale pozwól pan, że się przedstawię: Jestem James Costbrand, pański nowy sąsiad!

— A więc żałujesz pan zawarcia tak świetnego interesu, jak najęcia na kwartał tej rudery?!... Wierzę mocno, ale żal po niewczasie! Ale powiedz mi pan jedno. Jesteś, jak słyszałem starym, samotnym kawalerem!... Wytłómacz mi pan, na co ci zajmować całą tę willę? Przecież we wszystkich pokojach nie mieszkasz pan chyba?

— Tak, tak! — odpowiedział mniemany staruszek. — Ale widzi pan, to duże mieszkanie ma swoje przeznaczenie. Trzeba panu wiedzieć, że jestem prezesem loży spirytystycznej!

— Loży spirytystycznej!?

— Tak jest! W dużej sali, na górze urządzam posiedzenia spirytystyczne, materyalizacyę widm i duchów!

— Ach! to jest bardzo interesujące! — zawołał literat.

— Czy pan także spirytysta? zapytał Holmes.

Blackstone zaśmiał się ironicznie.

— Ja mój panie patrzę na podobnego rodzaju eksperymenta bardzo sceptycznie! Mimo tego interesują mnie one dosyć.

Rozpoczęła się żywa dysputa w kwestyi spirytyzmu wogóle. Mr. Costbrand, sławetny prezes spirytystycznej loży, a właściwie Szerlok Holmes obstawał gorąco przy swojem twierdzeniu i przytaczał mnóstwo dowodów na istnienie świata pozagrobowego i możności komunikowania się z nim. Mr. Blackstone zbywał go kpinami i sceptycznymi

uwagami, co jednak bynajmniej nie osłabiało zapału staruszka.

Teraz dzień w dzień spotykali się, jakby to z góry było umówionem, a p. Blackstone zdradzał coraz to większe zainteresowie się kwestyą ukazywania się i przywoływania duchów. — — —

Był to piękny dzień jesienny. Mr. Costbrand stał jak zwykle przy płocie z ulubioną swoją fajeczką patrząc w ogród bogatego sąsiada. — Musiał widocznie ciekawego coś zauważyć, gdyż opuścił rękę z fajką, a drugą ręką przysłonił oczy, wypatrując coś pilnie.

Przed sąsiednią willę zajechał powóz, a potem otworzyły się drzwi i w nich ukazała się pani Castellone w towarzystwie swego zięcia p. Blackstone, który ją do powozu odprowadził.

Służąca wyniosła pakiet i umieściła go obok starej damy.

Wkrótce powóz ruszył.

Zaraz potem pospieszył Blackstone do Holmesa, którego ujrzał przy płocie.

— I cóż panie zaklinaczu duchów, nad czemże tak dumasz?

I znowu rozpoczęła się ulubiona rozmowa na temat spirytyzmu i okkultyzmu. Szerlok rzekł wreszcie:

— Przyjdź pan na najbliższe posiedzenie, które aranżuję niezadługo. Każdą zmarłą osobę, którą pan sobie tylko życzysz, zobowiązuję się wywołać! Będziesz się pan mógł z dotyczącym duchem rozmówić, a on na wszystko będzie panu odpowiadał. Jeżeli pana to nie przekona, to muszę przyznać, że nauka moja i agitacya poszły w las, a pan pozostaniesz dla naszej doktryny — stracony!

— Panie Costbrand! — zaśmiał się Blackstone. — Przecież pan sam w to nie możesz wierzyć, co mówisz! Czyż jest możliwe, by ktoś, który w grobie już leży mógł znowu, choćby na chwilę być do życia przywołanym?!

— Ciała z pewnością nie!... Duszę jednak, lub ducha, jak pan chcesz ducha możesz ujrzeć w danych warunkach!

Holmes mówił to tonem jakiegoś natchnionego proroka, ale to pobudziło tylko do tem większej wesołości pana Blackstone.

Ostatecznie stanął zakład między obu panami, zakład dość znaczny, bo o 100 funtów sterlingów (2400 koron) i pan Blackstone obiecał zjawić się niezawodnie na seansie u p. Costbranda.

Nadszedł ów dzień.

W przyciemnionym salonie na I. piętrze, w domu wynajętym przez p. Costbranda, zebrało się kilka zaufanych i wtajemniczonych w spirytystyczne praktyki. Był tam ozdobiony fałszywą brodą Harry Takson, panna Ellen Copper, przyjaciółka i przygodna współpracownica wielkiego detektywa, następnie inspektor policyjny mr. Gordon i gruby sierżant policyi Brown — naturalnie — obydwaj po cywilnemu, jak niemniej — pani Bonnet, wierna gospodyni domu Szerloka Holmesa.

Wielki detektyw odbył poprzód kilka prób z panną Mery.

Andrew Blackstone zaprosił tylko swoją teściową i przedstawił zebranym swoją zarządczynię domu pannę Dinę Seagrond, która również miała wziąść udział w seansie.

Rozglądano się ciekawie po obszernej na pół ciemnej sali.

Na środku było koło z tajemniczymi kabalistycznymi znakami — fosforem zakreślone i wskutek tego silnie w ciemności świecące.

W głębi stał kirem obity ołtarz, na nim rozwarta biblia i również fosforem namazana czaszka trupia, świecąca z ciemności pustymi oczodołami i wystającemi kośćmi policzkowemi.

Stołki ustawiono w półkole i wszyscy zajęli teraz swoje miejsca.

Teraz zabłysły na ołtarzu dwa błędne ogniki i przeskakiwały ustawicznie z miejsca na miejsce, jakby tańczyły.

— Wiesz co Andrewie! — rzekła cicho, niespokojnie Dina, nachylając się do ucha kochanka — zaczynam bać się!

— Dzieciaku! — zaśmiał się p. Blackstone — jesteś nerwową i nic więcej! Mnie to bawi nadzwyczaj!

— I czy na prawdę mają się tu duchy ukazać? — zapytała trwożliwie.

— Tak! mają, ale się nie ukażą! — odpowiedział.

Pani Bonnet udawała zdenerwowaną i przestraszoną, urzędnicy kryminalni zabawiali się cichą rozmową i jedna tylko pani Castellone siedziała w swojej żałobnej sukni milcząca, bez ruchu, jak skamieniała.

Wreszcie otworzyły się drzwi i w sali ukazał się mr. Costbrand, a raczej Szerlok Holmes. W długim, powłóczystym płaszczu wszedł mieszanymi krokami. W blasku fosforyzujących trupich czaszek i tajemniczych emblematów podniósł do góry

swoje chude ramiona i rzekł uroczystym, ponurym głosem:

— Proszę uważać!... Niech wszyscy ujmą się za ręce i zachowują przez cały czas seansu jak najgłębsze milczenie. Przedewszystkiem zwracam uwagę, że każde poruszenie się jest połączone z największem niebezpieczeństwem, a już nie mógłbym za nic gwarantować, gdyby ktoś zbliżył się w obręb magicznego koła... Zaklęcia rozpoczynają się!!...

Nastała chwila milczenia, poczem Szerlok Holmes znowu głos zabrał.

Aby ułatwić materyalizacyę, proszę kogoś z wierzących, by nazwał po imieniu jakąś zmarłą osobę, do której za życia szczególniej był przywiązany.

I znowu cisza zapanowała, aż wreszcie odezwał się smutny, drżący głos pani Castellone:

— Chciałabym raz jeszcze, jeden, jedyny raz widzieć i słyszeć mówiącą moją biedną, zmarłą córkę Ellen!

Szerlok podniósł ramiona, tak, że obszerne rękawy opadły i stał niby natchniony kapłan starożytny zapraszający dobre duchy do nawiedzenia tego padołu łez.

Koło ołtarza dało się słyszeć coś jak szelest, coś jak cicha muzyka — wszyscy utkwili oczy w jeden punkt.

A przed ołtarzem stała już jak zjawisko z zaświatów postać czarownie pięknej kobiety w białej długiej szacie, z rozpuszczonym na ramiona bujnym blond włosem, z obnażonemi ramionami i stopami. Na czole jej błyszczała gwiazda.

Nagle ozwał się straszny, rozdzierający krzyk!

— Ellen!!!

Jakby jakąś niewidzialną siłą pchnięty — upadł Andrew na kolana.

Drewniany, martwy, jakby z pod ziemi wydobywający się głos przemówił od ołtarza:

— Jest... tu... morderca... między wami!

— Ellen! — ozwał się ponownie obłędny krzyk.

A biała postać mówiła teraz rzewnym, melodyjnym głosem:

— Andrewie! Andrewie!... Powiedz, co ja ci uczyniłam złego?!

— Litości! — krzyczał ochrypłym głosem Blackstone.

— Dlaczego... mnie... zabiłeś?!

Teraz zbrodniarz rzucił się do stóp białej postaci. Konwulsye strachu wstrząsały jego ciałem.

— Ellen! Ellen! Przebacz mi! — błagał łkając. — Nie z samej chciwości stałem się zbrodniarzem! Przeklęta ta miłość przyszła na mnie i jak wąż wpełznęła w moją duszę — —

Szerlok Holmes przystąpił cicho do niego. Zabójca podniósł głowę.

— Szatanie! Belzebubie! — krzyknął ustępując przed nim i jak obłąkany oglądając się dookoła. Nagle roztrącając najbliższych znalazł się przy oknie i zanim mógł się ktoś zoryentować — rzucił się na dół. — — — — — — — —

ROZDZIAŁ VII.

Śladami zbrodniarza.

Nie zważając już na obecnych, przebrawszy się pospiesznie, podążył Holmes wraz z swoim pomocnikiem na dół do ogrodu, gdzie spodziewali się znaleźć zbrodniarza z połamanemi kośćmi.

Ale złym sprzyja niekiedy szczęście!

Skok udał się mordercy: zupełnie zdrów i cały dobiegł Blackstone do tylnego ogrodu, skąd przedostał się do sąsiedniego parku i znikł, nie wiadomo gdzie i w jakim kierunku, zanim detektywi mogli na ślad jego natrafić.

Tymczasem noc zapadła, co uniemożliwiło dalsze śledzenie zbiega, nad ranem zaś spadł deszcz obfity, zacierając kompletnie możliwe ślady.

Teraz rozwinęli detektywi gorączkową czynność. Piechotą, końmi, to znów koleją z takim pośpiechem, jakby sami byli ścigani — zdążali oni ku wybrzeżu.

W jednem z portowych, małych miejscowości zdawało się, że ujmą go. Niestety! I tu po nim ślad zaginął. Dzięki przenikliwości Holmesa dało się jednak ustalić, że Blackstone odjechał przed godziną statkiem w kierunku szkockich wybrzeży.

Nie namyślając się wiele wynajęli detektywi parową łódź i w kilka godzin przybili do wybrzeży najbliższej wyspy.

Tu wstąpili do lichej gospody, jednej, jedynej, jaka była w lichej osadzie rybackiej.

Posiliwszy się należycie po morskie podróży, zawiązał Szerlok Holmes pogawędkę z właścicielem oberży.

— Czy dużo macie tu przejezdnych, ojcze Pa-

tryku? — zapytał wielki detektyw opalonego starego człowieka, którego wygląd i fizyognomia przemawiała za tem, że większą część życia przepędził na morzu.

— Czy dużo przejezdnych tu bywa? — odparł stary, wytrząsając popiół z fajki — Ot tak sobie! Zwłaszcza w lecie przywożą tu parowce niemało gości. Ale teraz jesienią kończy się u nas ruch turystyczny. Naprzykład wczoraj przywiózł tu parowiec jednego, jedynego pasażera, a i ten nie zatrzymał się tu długo!...

— Tak, tak! — wtrącił Holmes — Czy człowiek ten już odjechał?

— Nie, mister! Ale jak słyszałem udał się w głąb wyspy.

Był to wysoki, chudy i blady jegomość, który zdaje się w interesach tu przyjechał. Ciemny jego garnitur świadczył także o tem, że człowiek ten z pewnością nie dla swojej przyjemności puścił się w drogę.

No, ale panów to z pewnością nie wiele interesuje.

— W istocie mój przyjacielu! — odparł Holmes — i my nie chcemy zabierać wam dłużej czasu! Pójdź Harry: Posililiśmy się dostatecznie, możemy teraz powędrować dalej!

Obydwaj pożegnali się serdecznie z właścicielem gospody, poprosili o przechowanie swoich bagażów i zabrali się w drogę.

— No, pewną jest rzeczą, że Blackstone zatrzymał się na tej wyspie — mówił Harry. — Cała sztuka w tem, by go złapać! Jak myślisz Mistrzu? W którą stronę mógł łotr ten się udać?

— Tego sam jeszcze nie wiem! Dla tego też musimy się na jakiś czas rozstać i każdy z osobna czynić poszukiwania. Ty pójdziesz stąd do najbliższego posterunku policyjnego, który o jakie pół godziny jest stąd oddalony. Tam zawiadomisz o ucieczce zbrodniarza urzędownie kogo należy. Niech szukają!

— Very good! Master! Zadanie moje jest wcale nietrudne! Ale czy mógłbym wiedzieć, co pan będzież robił w czasie mojej nieobecności?

— Owszem! Wtajemniczę cie w moje plany, kochany chłopcze! Bo widzisz, przewiduję jeszcze i inną rzecz. Blackstone mógł był w miasteczku zaopatrzyć się w zapasy żywności, a potem pójść w góry by tam na jakiś czas zniknąć ludziom z oczu. Ja pójdę na jego poszukiwanie, a grot nadających się do ukrywania i zamieszkania nie ma znów tak wiele na tej wyspie.

Mistrz z uczniem pożegnali się, umówiwszy jeszcze przed rozstaniem, że zbornym ich punktem będzie tasama osada rybacka, z której wychodzą.

Szerlok Holmes zwrócił się na wschód. Przed jego wzrokiem rozciągała się nieprzejrzana przestrzeń porośnięta nędzną karłowatą drzewiną i wrzosem, z którego wychylały nieśmiało główki swe białe i żółte leśne kwiatki.

Dalej sterczały urwiska i fantastyczne złomy skał — ziemia zasiana była bryłami głazów i teren ten ciągnął się aż do samego pieniącego się o brzegi burzliwego morza.

Tu było niepodobieństwem, by ktoś choć na chwilę mógł znaleść schronisko dla siebie. Rozważając to, przeszedł wielki detektyw na sąsiednie wybrzeże.

Rozglądnął się wokoło i usiadł.

— Zdaje mi się — rzekł sam do siebie — że praca moja nie ma żadnych widoków! Najlepiej chyba zrobię, gdy zacznę poszukiwania od zamieszkałych ludzkich siedzib!

W tej chwili wyjrzał z zachmurzonych niebios jasny promień słońca i oświecił sąsiednie wybrzeże, oddzielone od tego miejsca głęboko wrzynającą się zatoką.

Co to było?! Wielkiemu kryminaliście zdawało się, jakoby z powierzchni morskiej wyrastały jakieś kolumny potężne przyjmujące w tej grze światła i cieniów niebotyczne rozmiary. Dookoła rzucały się na nie fale z mruczeniem i szumem, jakby obalić chciały te kamienne olbrzymy. Jak błyskawica przeszła myśl przez głowę Holmesa: Grota Fingala!

Gdzie były jego myśli, że mógł był zapomnieć o tym przecudnym tworze północnej przyrody, stanowiącym prócz swej naturalnej piękności — idealne schronisko dla każdego, który chce na krótki czas zniknąć z oczu ludzi!

Jeżeli gdzie, to tylko tu mógł się skryć Blackstone!

Holmes zerwał się i ostatkiem sił zaczął zdążać w powrotnym kierunku do ludzkich siedzib w nadziei, że natrafi tam na jakiego poczciwego rybaka, który za dobre słowo i pieniądz przewiezie go do groty Fingala.

Ale spotkało go wielkie rozczarowanie.

— Teraz jest odpływ — oświadczył mu pewien stary rybak — mister, musicie poczekać, aż

do jutra, gdyż zanim przypływ nastąpi, upłynie 6 godzin, a tymczasem i noc zapadnie. A więc cierpliwości mister i — dobranoc!...

ROZDZIAŁ VIII.

Walka w grocie Fingala.

— A jeżeli jest niemożliwe dostanie się do groty Fingala od strony morza, ha! mniejsza o to! Pokuszę się dostać do niej lądową drogą!

Tak zawołał Szerlok Holmes i tupnął z gniewem nogą.

Ale żaden z miejscowych wieśniaków nie chciał się podjąć tak karkołomnego przedsięwzięcia.

Wszyscy wzruszali ramionami w milczeniu, a gdy Holmes nie widział, pokazywali palcem na czoło, komunikując sobie niejako spostrzeżenie, że „u tego pana musi być kiepsko w głowie“.

Tylko jakiś młody chłopak o junackiej postawie uśmiechnął się i zawołał tak, że go wszyscy słyszeć mogli:

— Well! mister! Możeby się znalazła jaka rada! Niebezpieczna jest to przeprawa, ale udać się może! Gdy brat mój nieboszczyk żył jeszcze — (szkoda, że go ustrzelili celnicy!) — wybieraliśmy tam często mewom jaja!... Przedewszystkiem potrzebaby wam do tej wyprawy, silnych, grubych lin!...

— Pięknie, mój młody przyjacielu!... O liny i pochodnie postarać się można chyba na miejscu. Pójdziemy razem, jeżeli masz odwagę, a — nie miej już troski o wynagrodzenie fatygi twojej!

W niedługi czas znalazły się i liny i pochodnie smolne, Szerlok Holmes zmienił elegacki swój garnitur na proste ubranie rybackie.

Potem udali się obydwaj na wyprawę.

Broń swoją wraz nieodzownymi kajdankami i elektryczną lampką ukrył w kieszeniach, silną linę owinął dookoła ciała, pochodnie zaś związał razem i przytwierdził je sobie na plecach.

— Nie będziemy mieli wiele trudności — upewniał go nowy towarzysz. — Odpływ odsłania wyżłobione przez fale schody i krużganki, trudne co prawda do przebycia z powodu ślizkiego mułu i morskich wodorostów. W samej jaskini jest już o wiele łatwiej przeciskać się między słupami. Prawdziwe, wielkie niebezpieczeństwo grozi z innej strony, a są niem orły morskie. Zwłaszcza gniazda, gdzie są jeszcze młode, nie umiejące latać — musisz pan zdaleka omijać.

— Dziękuję wam za przyjazną radę, ale teraz do dzieła! — Mam nadzieję, że przed wieczorem będziemy z powrotem we wsi.

I uwiązany na linie zaczął się opuszczać w przepastną głębinę. Wreście osiągnął ów próg o którym mówił mu jego przewodnik.

Próg wystawał na stopę z powierzchni morza i dawał niejakie oparcie dla stopy. Tu wypoczął trochę i rozpoczął znowu swoją mozolną i niebezpieczną wędrówkę.

Linę, która dotychczas była mu pewnem oparciem, przywiązał wielki detektyw do jednego z wystających słupów.

Teraz zapalił smolną pochodnię i trzymając ją w ręku, zaczął się przeciskać przez cyple skalne.

Wszedłszy do olbrzymiej groty, rozejrzał się wkoło ze zdumieniem.

Nad głową jego zwisało sklepienie mieniące się przecudnemi fantastycznemi barwami, jakby zapożyczonemi z łuku tęczy. To solne kryształy łamiąc w tysiącznych promieniach blasku pochodni, rzucały te czarodziejskie blaski.

Cudowna gra świateł wprawiała po prostu w zachwyt detektywa, który był tak czuły na piękno przyrody.

Obowiązkiem jego było śledzenie potwornego zbrodniarza, by w razie, gdy poszukiwania najdokładniejsze nie wydadzą najmniejszego rezultatu — mógł sobie powiedzieć z całym spokojem sumienia: „Nie masz tu zbrodniarza, którego ja i sprawiedliwość poszukuje!“...

Posuwał się tedy powoli naprzód, krok za krokiem, stawiając z największą ostrożnością kroki, gdyż jedno fałszywe stąpnięcie mogło spowodować śmiertelny upadek.

Nagle, u szczytu groty posłyszał przeraźliwe straszne kraczenie, czy krzyk — niepodobna było określić tego piekielnego tonu rozlegającego się setnem echem pośród milczących skał. Szmer i pęd powietrza dał się zaraz uczuć tuż nad głową detektywa.

Na chwilę zatrzymał się, chcąc się przekonać, co to wszystko znaczyć miało?

Wspaniały morski orzeł, spłoszony i oślepiony

blaskiem pochodni, zataczał w górę szerokie kręgi, a rozpięte potężne skrzydła sprawiały ten szelest.

Ale przy tej sposobności zauważył jeszcze i co innego wielki detektyw. Na stokach i płaskich wierzchołkach bazaltowych słupów zauważył ślady stóp.

Mimowoli pomacał rewolwer w kieszeni. Zatknął pochodnię w skalnej rozpadlinie i zaczął dalej się wspinać.

Nie przeczuwał Holmes, że oprócz orłów miał jeszcze i innego świadka karkołomnej swojej wędrówki. Nie zauważył, że za wejściem do groty śledzony był przenikliwym wzrokiem. Człowiek obserwujący go, postępował za nim w pewnem oddaleniu — a nie był to nikt inny jak morderca Blackstone.

W tej chwili wchodził Holmes do bazaltowej naturalnej nyży, gdy człowiek śledzący go wymierzył mu potężny cios laską w głowę.

Detektyw się zachwiał, ale na szczęście nie stracił jeszcze równowagi i objął silnie ramionami słup bazaltowy, gdy drugi nie mniej silny cios spadł na nieszczęsną jego głowę. Z pokrwawioną głową upadł detektyw pod nogi swego prześladowcy.

— Ho! ho! — ryknął piekielnym śmiechem Blackstone — stary znajomy! Co tu z nim począć? Najprostszą rzeczą byłoby rzucić go po prostu do morza! Ale nie! wymyślę mu coś lepszego! Moi nowi przyjaciele będą uczestniczyć w mojem szczęściu — orłom sprawię ucztę z niego!...

Chwycił omdlałego Holmesa za kołnierz i ciągnął po skalistym gruncie.

Nad ich głowami kraczały posępne orły. Kraczenie to pochodziło z pewnego gniazda, gdzie były młode. Zbrodniarz linami, które znalazł na plecach Holmesa przywiązał tegoż do słupa, jeszcze raz poświecił mu w twarz pochodnią, a następnie rzucił ją w morze.

— Nowy Prometeusz! — orły! szarpcie jego wątrobę!... — zawołał Blackstone, śmiejąc się ustawicznie szatańskim tonem.

Holmes przyszedł do siebie — i zdrętwiał cały. Wiedział, co mu zagraża: straszna śmierć — rozszarpanie żywcem przez krwiożercze ptaki.

Nad sobą czuł już powiew ich skrzydeł.

ROZDZIAŁ IX.

Jeszcze na czas!

„Komu bogi były wrogiem — zrobiły go pedagogiem“.

„Mnie także niebardzo bogi lubiały, bo zrobiły mnie detektywem“.

Z temi słowy opuszczał Harry miejsce, które według wskazówek jego mistrza miało być celem dzisiejszej jego drogi.

Harry, dzielny pomocnik i uczeń ulubiony Szerloka Holmesa, wzorował się na swoim znakomitym mistrzu.

Przyjął jego metodę i sposób patrzenia na rzeczy i ludzi.

Przenikliwość, niebywały spryt w połączeniu z nadludzką odwagą, cechowały tego młodzieńca, który nie lękał się niczego, nie drżał przed żadnem niebezpieczeństwem, gdy rozchodziło się o niesienie pomocy nieszczęśliwym, ukaranie zbrodniarza lub danie pomocy uciśnionemu.

Zdarzało się często, że Szerlok Holmes sam, na własną rękę robił wyprawy, nieraz — jak naprzykład w niniejszym wypadku — wymagała sytuacya jedynie tylko obecności i pracy jednego tylko człowieka. W takim razie misyę tą obejmował Holmes, niejako kierował główną akcyą, podrzędniejsze funkcye poruczając pomocnikowi swemu Harry Taksonowi.

Ale Harry nie tracił nigdy z oczu genialnego mistrza.

Jeżeli — jak powiadamy — sytuacya wymagała pracy tylko Holmesa, Harry, będąc nawet w innych stronach, pamiętał o nim, spieszył mu z pomocą i wezwany, czy niewezwany, zjawiał się w decydującej chwili z odsieczą.

To też nie było na świecie dwóch ludzi silniej moralnie ze sobą związanych, jak Szerlok Holmes i Harry Takson.

Można powiedzieć, że nietylko jeden duch ich ożywiał, ale myśli mieli niemal te same.

Holmes górował nad swym uczniem rozwagą, doświadczeniem, wiadomościami i nauką.

Harry Taksona unosił nieraz temperament, dał się niejednokrotnie unosić popędom serca i wrażliwości tak właściwej młodemu wiekowi.

Holmes jeden umiał ten charakter okiełznąć i uczynić zeń dzielnego szermierza dla dobra ogółu.

Harry nie miał powodzenia w swej misyi. Na policyi miejscowej oświadczono mu, że dyrektor jest na urlopie, starszy radca chory, a komisarz na polowaniu. Nie było literalnie nikogo, komuby można powierzyć to, co mistrz mu polecił.

Wobec tego nie wiedział Harry lepszej rady, jak tylko wrócić na umówione miejsce, do osady rybackiej, gdzie go miał Holmes oczekiwać.

Ale i w tem pech jakiś go prześladował. On, Harry, tak łatwo się oryentujący stracił kompletnie drogę. Rozglądając się wokoło i świecąc sobie latarką ujrzał na wielkim głazie napis:

Droga do groty Fingala.

W drodze spotkał jakiegoś człowieka. Wkręciwszy mu do ręki kilka szylingów chciał się dopytać o jaki taki przyzwoity nocleg.

— Mój panie! — odpowiedział nieznajomy chowając pieniądz do kieszeni — choćbym panu opisywał, sam nie trafisz, ja zaś za przewodnika w tej chwili służyć ci nie mogę, bo mam coś ważniejszego do czynienia!...

— Cóż to takiego? — zapytał Harry ciekawie.

Wieśniak podrapał się w głowę i rzekł z wahaniem:

— Pewien obcy uparł się, by zwiedzić koniecznie grotę Fingala. Nie mogąc z powodu odpływu morza dostać się do niej łodzią, postanowił niebezpieczną lądową drogą dopiąć swego celu. Wyszedł przed kilku godzinami i nie wraca dotychczas!... Idę, by go odszukać!...

— Bardzo to ładnie z waszej strony! — odparł Harry będąc przekonany, że wieśniak ma na myśli Blackstona. — A jak wyglądał zaginiony?!

Chłop zmarszczył czoło, jakby przypominając sobie i mówił:

— Miał jasny ubiór turysty i dżokejską czapkę Energiczne rysy twarzy i orli długi nos.

— Damned! — krzyknął Harry — to mistrz!

Wypytał go się bliżej i nie miał już teraz żadnej wątpliwości.

Teraz odzyskał młodzieniec dawną swoją energię. Zebrał rybaków, jacy tylko byli pod rękę. Na podorędziu znalazła się łódź, a że tymczasem nastąpił i przypływ morza — popłynęli niebawem w kierunku groty.

Harry stał w łodzi trzymając rewolwer w pogotowiu. Kilku rybaków świeciło pochodniami.

Gdy łódź uderzyła o skalisty brzeg groty, straszny w swej grozie przedstawił im się widok.

Od ścian groty odbijał się piekielny śmiech Blackstona — gromady orłów unosiły się nad jakimś człowiekiem skrępowanym i przywiązanym do skalnego słupa.

Harry wystrzelił kilkakrotnie z rewolweru w górę. Kilka ptaków martwych spadło w morze inne z przeraźliwem krakaniem schroniły się w niedostępnych szczytach.

Blackstone stał jak zły duch na skale i drwiąc sobie z niebezpieczeństwa zagrażającego mu ze strony nowych prześladowców, celował z góry prosto w Taksona. Nie miał jednak czasu wypalić. Celny strzał młodego detektywa dosięgnął zbrodniarza, który z potrzaskaną czaszką spadł w nurty morskie.

Tak skończył niecny zbrodniarz.

Z trudnością tylko udało się wiernemu Taksonowi uwolnić z więzów ukochanego mistrza i sprowadzić osłabionego ze znużenia i upływu krwi do łodzi.

Śmierć nieszczęśliwej żony została pomszczoną, a chociaż Szerlok Holmes nie mógł tym razem sam osobiście być wykonawcą ludzkiej sprawiedliwości — w wielkiej mierze przyczynił się jednak do tego, że sprawiedliwa Niebios kara dosięgnęła zbrodniarza.

KONIEC.

Uwagi i przestrogi pana Majtyki,

c. k. emerytowanego woźnego sądowego dla kolegów, będących w czynnej służbie.

Kochani Koledzy!

Kocham bardzo sztukę, w jakimkolwiek ona kierunku się objawia, czy to sztuki piękne, czy magiczne, czy sztuki łamane.

Najgorszą jednak sztuką to jest teatr. Nie mówię jednak oczywiście o teatrze porządnym, gdzie aktorzy noszą ubrania robione na miarę i każdy ma co najmniej jedną parę butów.

Ale mówię o tych kapłanach wędrownej Muzy, którzy grają w pożyczanych rozmaitych kawałkach od swoich znajomych, którym potem przez artystyczne zapomnienie nie oddają przynależnych im proprietetów, nie mówiąc już o pożyczonej monecie.

Miałem i ja raz do czynienia z temi panami aktornikami i to w sposób całkiem urzędowy, albowiem przeprowadzałem egzekucyę u pewnego pana dyrektora takiej budy, którą ludzie dobrej woli nazywają teatrem.

Pan dyrektor Pisturkiewicz — widocznie także przez zapomnienie nie zapłacił swojego dostarczyciela obuwia, który nawiasowo mówiąc, jest moim szczerym przyjacielem.

Udałem się tedy po dobroci do pana dyrektora i tłómaczyłem mu na rozum bezsensowność robienia takich długów marnych, że w ten sposób traci się kredyt, zaufanie, etc.

Pan dyrektor przyznał mi racyę i obiecał solennie zapłacić cały dług w kwocie 11 koron dzisiaj wieczór po przedstawieniu, o ile ono dopisze.

Uścisnąłem jego dłoń i obiecałem zgłosić się wieczór do teatru.

Grano bardzo piękną sztukę, p. t.: „Poławiacz morskich trupów na Korsyce“ — czyli „Anielska dziewica w dyabelskiej mocy“.

Rozczulające były tam rzeczy, jak n. p. ślepy ojciec przeklina swą córkę, która kocha pewnego cukiernika.

Cukiernik natomiast nadskakuje starej handlarce starzyzny, licząc na jej majątek.

W 15-tym akcie zjawia się nowa postać i wikła całą akcyę do niepoznania.

Jest to tragiczny szewc...

Śledziłem tragedyę z niekłamanym zapałem, ale, gdy szewc wszedł na scenę, przypomniałsm sobie o moich obowiązkach i nie czekając na śmierć cukiernika i zwaryowanie starej handlarki starzyzny, wymknąłem się z widowni i pospieszyłem za kulisy do garderoby pana dyrektora.

Wielkiego tego artysty nie zastałem.

Będąc po cywilnemu ubrany nie zwróciłem niczyjej uwagi na siebie.

W kieszeni zaś miałem mandat egzekucyjny, lak, pieczątkę i inne symbole mojej władzy.

Przychodzi jeden z artystów i przyjrzawszy mi się bacznie zażądał papierosa.

Podałem mu papierośnicę, z której wziął od razu trzy, jak mówił dwa dla siebie, a jeden dla „starej“, która także pali.

W niedługi czas kolega jego zażądał w ten sam sposób 20 halerzy, gdyż jak mówił, gra na scenie milionera i potrzebuje tej monety jako rekwizytu.

Nie miałem sumienia odmówić sympatycznemu artyście pomocy w tak szlachetnym celu, jak trafne odegranie tak trudnej roli.

Gdy wyszedł, rozejrzałem się po artystycznym przybytku pana dyrektora, który był właśnie na scenie a grał odpowiedzialną rolę wielkiego księcia Abruzów i miał na nogach wspaniałe buty ze sztylpami, co prawda trochę zdęfektowane, ale to nic nie szkodzi.

U lewego buta brakowało mianowicie całkiem sztylpy, ale za to drugi miał ucho i kawałek podszewki ze sztylpy. Za to obydwa były bez podeszew i obcasów.

Rozglądając się tak po garderobie spostrzegam wśród stosu rupieci prawie-że nową jeszcze parę kamaszków.

Biorę je do ręki, patrzę na firmę: „Józef pocięgiel majster szewski“ — dobra nasza!

Buty zrobione przez mojego mandanta a niezapłacone przez pana dyrektora.

Przybiłem pieczątkę urzędową na każdej z podeszew, sporządziłem odpis protokołu i w widocznem miejscu położyłem panu dyrektorowi na

pulpicie, poczem sam wyszedłem równie cicho jak przyszedłem, unosząc ze sobą buty.

Potem najspokojniej udałem się na przedstawienie, gdyż z tem wszystkiem byłem bardzo ciekaw, kto kogo zabije, a kto z kim się ożeni.

Zadość uczyniwszy moim urzędowym obowiązkom, nasyciwszy się wrażeniami artystycznemi, pomyślałem także o więcej prozaicznych potrzebach.

Jak się zapewne państwo dymyślacie poszedłem ugasić pragnienie.

W sąsiedniej knajpie było wyborne piwo, co z przyjemnością stwierdziłem i zamanifestowałem 18-tu kuflami.

Obok mnie przy stolikach zebrało się powoli towarzystwo złożone przeważnie z ludzi ogolonych.

Domyśliłem się w nich artystów. Obsiedli próżny stolik, a tęskne spojrzenia skierowali na bufet, gdzie stały kieliszki i kufle, inni patrzyli w zadumie na drzwi.

W tej chwili wszedł jeszcze jeden gołowąsy.

— Panowie! — rzekł tragicznym głosem — dyrektor dzisiaj nie przyjdzie!

— Jakto? Dla czego?! — zabrzmiały rozmaite tony —

— Stało mu się nieszczęście!... Skradziono mu buty!

— Kto?

— Nikt z naszych, to pewna!

— A ja zauważyłem jakiegoś człowieka obcego, kręcącego się za kulisami.

— Ja go widziałem siedzącego w garderobie dyrektora.

Jedna z dam teatralnych kwiknęła histerycznie i wskazała na mnie palcem.

— To on!

— On?!!! — zawołał chór aktorów.

A potem słyszałem już urywane głosy:

— Buty... Złodziej... Niech odda... Aresztować!

Aż wreszcie zahuczał nad ogólną wrzawą potężny jakiś bas:

— Niech zapłaci wódkę!...

Teraz podniosłem się, odsunąłem kufel od siebie, odchrząknąłem i rzekłem:

— Co do ostatniej propozycyi, zgadzam się chętnie, co do aresztowania — protestuję! Wziąłem buty — to prawda, ale, że złodziejem jestem, to nie prawda.

I tu wyłuszczyłem dokładnie prawne i formalne powody dla których przyaresztowałem buty wielkiego artysty, oświadczając kategorycznie, że absolutnie ich nie oddam dopóki pan dyrektor dłużnej kwoty na moje ręce nie złoży.

Nie było rady.

Dwóch artystów udało się w delegacyi do niego.

Przynieśli pieniądze — otrzymali następnie buty i ubrawszy w nie dyrektora, wprowadzili go w tryumfie do knajpy.

Tego wieczora popiliśmy się wszyscy jak bele.

Skończyłem!

Tysiące Pań i Panów

używa światowo sławnej wody na **zabarwienie i porost włosów.** Woda ta jest wynalazkiem **prof. Dra Semka,** a była na wielu wystawach **odznaczona.** O jej **skuteczności** świadczy wielka ilość **listów pochwalnych.** Cena jednej próbnej flaszki **5 K,** większej **8 K.** Wysyła dyskretnie wraz z pouczeniem, **za zaliczką pocztową:**

F. Navrátil, Prostejow,

Petrská ul. 9.

Szerlok Holmes

słynny ajent śledczy.

Tytuły nadzwyczaj zajmujących powieści:

Zbrodnia na Zamku Saavreda.
Śladami Houdiniego.
W królestwie Amora.
Grabież naszyjnika z pereł.
Córa Ewy.
Tajemnica Juiego Jitsu.
Zamek rozbójnikow pod Palermo.
Zbrodnia w Armii zbawienia.
Profesor Flaks, wielokrotny morderca.
Pościg w pustyni.

Cena każdej powieści w trójbarwnej okładce tylko

30 hal.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, trafikach i biurach dzien.

Na żądanie wysyła wprost

powyższych 10 powieści za 3 K 30 h. franko. Za zaliczką o 45 hal. więcej.

Księgarnia antykw. M. PROKESZA

w Krakowie, ul. Szewska L. 17.

15 POWIEŚCI z życia Czerwonoskórych z ilustracyami za . . . 2 K 60 h

1. Pierwszy pochód zemsty. 2. Walka o dolinę złota w górach Mglistych. 3. Sitting Bulla biały bizun. 4. Jeździec. 5. Tajemnica z nad rzeki Powder. 6. Demon pijaństwa. 7. Śmiertelna jazda naczelnego wodza. 8. Napad na fort Lincoln. 9. Niemyty Blok-haus. 10. Księżniczka widm skalistych itd.

wysyła opłatnie

Księgarnia antykwarska M. Prokesza

W KRAKOWIE, UL. SZEWSKA L. 17.

Za zaliczką o 45 h. drożej.

Na gwiazdkę! Najodpowiedniejsze podarki książkowe dla młodzieży Na gwiazdkę!

Czerwony Napoleon

Cykl najciekawszych powieści z wojen prowadzonych przez Czerwonoskórych w obronie swej ojczyzny.

Tom ozdobnie oprawny, zawierający 10 oddzieln. powieści, z 10 kolorowemi ilustracyami, w objętości 360 stronic.

Cena 2 korony. Za zaliczką 55 h. więcej.

Bohater Dzikiego Zachodu

Cykl najciekawszych powieści z życia i przygód wojennych najdzielniejszego pioniera cywilizacyi na kresach dalekiego Zachodu.

Tom ozdobnie oprawny, zawierający 10 oddzieln. powieści, z 10 kolorowemi ilustracyami, w objętości 360 stronic.

Cena 2 korony. Za zaliczką 55 h. więcej.

Powyższe dzieła są do nabycia we wszystkich księgarniach oraz wprost w Administracyi: Kraków, fach 30.

Wydawca: Aleksander Ripper. Redaktor odpowiedzialny: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel.

Drukarnia Aleksandra Rippera w Krakowie.